

TATERNIK

A detailed black and white illustration of a mountain valley. The scene shows a wide valley with two dark lakes nestled in the folds of the terrain. In the distance, a small figure is visible on a high, rocky peak. The foreground features rugged, rocky slopes with some sparse vegetation. The overall style is that of a classic woodcut or engraving.

2

1976

<http://pza.org.pl>

TREŚĆ

Naprawdę udana (<i>J. Nyka</i>)	49
Gasherbrumy 1975 (<i>W. Rutkiewicz</i>)	50
Gasherbrum II — nową drogą (<i>K. Zdzitowiecki</i>)	58
Gasherbrum III zdobyty (<i>W. Rutkiewicz</i>)	60
Gasherbrum II żeńską dwójką (<i>A. Okopińska</i>)	63
Polskie lato w Tatrach (<i>J. Wolf</i>)	66
Polska — Wielka Brytania (<i>Z. Kozłowski</i>)	68
Gorące lato... owocne lato... (<i>W. Soneński</i>)	70
Sukces na Dru (<i>Z. Wach</i>)	73
Direttissima (<i>J. Wolf</i>)	75
Alpy Francuskie — lato 1975 (<i>A. Paczkowski</i>)	78
Kłopoty przewodników w Alpach (<i>A. Janik</i>)	78
Krywań Anno Domini 1761 (<i>J. Nyka</i>)	79
Jaskinia Księżycowa po raz drugi (<i>J. Radziejowski</i>)	81
24 doby w Jaskini Miętusiej (<i>J. Grodzicki</i>)	82
Szablą przez Ucho (<i>W. Betlejewski</i>)	84
Nowe drogi w Tatrach	85
Co nowego w Tatrach?	86
Wyprawy w góry egzotyczne	88
Jaskinie i speleologia	90
Więści organizacyjne	91
Pożegnania	92
Z Tatr i Zakopanego	94
Sprzęt i ekwipunek	95

Na okładce: Stawy Ciemnosmreczyńskie — nad nimi Mieguszowicki, Cubryna i Koprowy Wierch. Rysował *Walery Eljasz* — reprodukcja z „Pamiętnika Towarzystwa Tatrzańskiego” 1884.

Zdjęcie obok: zachodnia ściana Petit Dru — do artykułów na stronach 73—77.

TATERNIK

Naprawdę udana

Znaczną część niniejszego zeszytu „Taternika” wypełniają artykuły omawiające zeszłoroczną wyprawę na Gasherbrumy, zorganizowaną i kierowaną przez Wandę Rutkiewicz. Poświęcamy im więcej miejsca, niż jest to w naszym piśmie praktyką, ale bo też była to wyprawa pod wieloma względami wyjątkowa.

Pierwszy wielki sukces — może największy — odniosła będąc jeszcze w kraju, a było nim uzyskanie zezwolenia władz pakietańskich na zaatakowanie Gasherbrumu III — bez wątpienia najatrakcyjniejszego celu zdobywczego, jaki się ostał w Karakorum. W maju żegnaliśmy wyjeżdżającą ekipę z gorącymi życzeniami powodzenia, ale i z cichą obawą, jak samodzielny żeński zespół zda trudny wielkogórski egzamin. Potem były długie okresy braku wiadomości od wyprawy, w których trakcie nasze obawy przetrząsały się w lęk. I wreszcie zaczęły napływać komunikaty: Gasherbrum II pokonany nową drogą... Gasherbrum II zdobyty przez drugi zespół polski... Wyprawa polska weszła jako pierwsza na Gasherbrum III — najwyższy z dotąd dziewięciu szczytów świata... Dwie Polki na Gasherbrum II — pierwsze Europejki na ośmiotysięczniku...

Jedna wyprawa i cztery znakomite osiągnięcia, z których dwa muszą wejść na trwałe do historii światowego himalajizmu.

W tabeli najwyższych szczytów świata Gasherbrum III (7952 m) zajmuje miejsce 15 i jest najwyższym z wszystkich siedmiotysięczników. Trzeba od razu powiedzieć, że uściślenie pomiarów przesunie go jeden stopień niżej, przed niego zaś wejście Disteghil Sar, obecnie kotowany o ok. 100 m za nisko, nie jest to jednak degradacja istotna. Gasherbrum II (8035 m) zajmuje wśród najwyższych szczytów świata miejsce 13. Jest on aktualnie najwyższym szczytem osiągniętym przez Polaków i jednym z 3 ośmiotysięczników zdobytych przez kobiety, przy czym na dwu pozostałych (zob. T. 4/75 s. 175) stanęły tylko

Azjatki. Tak więc spośród 25 najwyższych szczytów Globu, alpinisci polscy weszli jako pierwsi na dwa (15 lub 16 i 22 z kolei) oraz na 2 wybitne wierzchołki (Kangbachen i Broad Peak Środkowy), przy jednym zaś szczyście mają I wejście kobiece.

Z 18-osobowego składu wyprawy w wejściach na szczyty wzięło udział 10 osób, co — odliczając osoby funkcyjne i chore — daje stosunek 10:12, a więc naprawdę znakomity. Celem samodzielnej grupy kobiecej był Gasherbrum III — ostatecznie zdobyty przez zespół żeńsko-męski. Przeglądając artykuły, czytelnik łatwo dostrzeże, że nie wszystkie uczestniczki wyprawy przyjęły taki obrót rzeczy z zadowoleniem. Decyzja Wandy Rutkiewicz rankiem 11 sierpnia na pewno nie była łatwa. Patrząc na nią jednak z zewnątrz i z perspektywy bez mała roku trzeba stwierdzić, że w ostatecznym efekcie była nie tylko słuszną, ale wręcz szczęśliwą. W chwiejnej lokalnej pogodzie nie można było zwaćkać nawet dnia z atakiem — stawka była zbyt wysoka, by wolno ją było wystawiać na jakiegokolwiek ryzyko. Uporanie się z wejściem za jednym zamachem nie tylko przypieczętowało sprawę Gasherbrumu III, lecz nadto otworzyło przed wyprawą możliwość sięgnięcia po jeszcze jeden kapitalny sukces: wejście kobiet na ośmiotysięczny Gasherbrum II. Dobrej okazji dopomógł szczęśliwy traf — mam tu na myśli zasłabnięcie kpt. Saeeda — i na szczyście tym znalazł się samodzielny zespół żeński! Bilansując gorące dni 11 i 12 sierpnia powiedzieć trzeba otwarcie, że z punktu widzenia interesów alpinizmu polskiego znaczenie ma tylko to, że na Gasherbrumie III załapał jako pierwszy proporzec biało-czerwony. Kto go na szczyt wniósł — jest sprawą drugorzędną. W wejściu uczestniczyły jednak dwie kobiety i fakt ten sprawia, że jest to równocześnie wydarzenie należące do historii alpinizmu kobiecego — w zdobyciu żadnego szczytu tej wysokości panie dotąd udziału nie miały. Lecz alpinizm kobiecy ma do zaksiego-

wania jeszcze jedno wielkie osiągnięcie: po raz pierwszy szczyt ośmiotysięczny zdobyła samodzielna żeńska dwójka. Saldo pod każdym względem jest więc dodatnie. A że mimo tylu osiągnięć nie wszystkie osobiste aspiracje wydają się być zaspokojone — to już los znakomitej większości wypraw, nie będących przecież towarzyskimi wycieczkami, gdzie wszyscy uczestnicy mają zagwarantowane jednakowe prawa do doznań i przeżyć.

Co wnosi wyprawa do uformowania się polskiej kadry kobiecej i jaką przyszłość ma przed sobą model organizacyjny przez nią zaprezentowany — o tym pisze w sprawozdaniu Wanda Rutkiewicz. Tu dorzucmy tylko jedną jeszcze uwagę. Wyprawa na Gasherbrumy miała przebieg bezawaryjny i wróciła do kraju bez jakiegokolwiek wypadku. Trudno zapisywać jej to na dobro, ale oceniając ją jako całość nie można o tym nie pamiętać.

JOZEF NYKA

WANDA RUTKIEWICZ

Gasherbrumy 1975

„Wyprawa Kobieca Karakorum 75” przechodziła na etapie organizacji szereg metamorfoz. Jeśli za łącznik pomiędzy kolejnymi jej wersjami przyjąć obecność w ekipie samodzielnego zespołu kobiecego, to za formalny początek całego przedsięwzięcia uznać można jesień 1973 roku. Uchwałą Zarządu Klubu Wysokogórskiego w Warszawie został wtedy zatwierdzony 6-osobowy komitet organizacyjny warszawskiej wyprawy w Himalaje. Komitet ten najpierw zwrócił uwagę na Himalaje Nepalu i wystąpił o zgodę na jeden z kilku niewysokich ośmiotysięczników. Brak zgody, perspektywa udziału w innych wyprawach, a także kontrowersyjna ze względu na swój bezprecedensowy charakter koncepcja niezależnej działalności dwu zespołów — kobiecego i męskiego — wywarły ujemny wpływ na aktywność komitetu, a tragiczna śmierć Ewy Czarnieckiej-Marczakowej praktycznie przypieczętowała jego koniec.

Na jesieni 1974 r. inicjatywę podjęło znów kilka osób, które zawiązały nowy komitet organizacyjny, formalnie będący kontynuacją poprzedniego. W skład jego weszli: W. Rutkiewicz (przewodnicząca), Ewa Balcerzak, Alison Chadwick-Onyszkiewicz, Alicja Bednarz, Maciej Piątkowski i Marcin Zachariasiewicz. W centrum uwagi znalazł się teraz zespół kobiecy, zaistniała bowiem realna szansa zorganizowania wyprawy kobiecej w góry wysokie. Rok 1975 ogłoszony został „Międzynarodowym Rokiem Kobiet”, a wyprawa mogła się stać mocnym punktem polskiego programu obchodów tego roku. Nim wykryształizował się ostateczny kształt, pod uwagę brane były różne koncepcje wyprawy, łącznie z wersją wyprawy czysto kobiecej. Jednak ze względu na duży trud organizacyjny, jak i na niełatwe cele wyprawy, utrzymano pomysł dwu autonomicznych grup, co

więcej — wzmocniono ich skład, tak że grupa kobieca stała się aktualną reprezentacją kraju, grupa męska zaś bazowała na najlepszych alpinistach Klubu Wysokogórskiego w Warszawie. Podstawowe znaczenie miała przy tym decyzja Przewodniczącego GKKFIT, który w grudniu 1974 r. nadał wyprawie charakter imprezy centralnej, co w konsekwencji spowodowało jej przejęcie przez Polski Związek Alpinizmu. Honorowy patronat nad wyprawą objęła Krajowa Rada Kobiet Polskich.

Jako cele wyprawy wysunęto: 1) zdobycie przez zespół kobiecy szczytu Gasherbrum III (7952 m), piętnastego na liście najwyższych szczytów świata i najwyższego z dotąd nie zdobytych; 2) wejście przez zespół męski nową drogą na szczyt Gasherbrum II (8035 m) — albo od strony przełęczy, albo prawą grzędą od strony Południowego Lodowca Gasherbrum (pierwsze wejście na ten szczyt miało miejsce w r. 1956 — zdobyła go wyprawa austriacka pod kierownictwem Fritza Moraveca, lewą grzędą od tej samej strony). Oba szczyty wznoszą się w obramieniu górnej części lodowca Baltoro, na granicy Pakistanu i Chin (Tybetu). Fakt, że działalność wyprawy miała być prowadzona na terenie Pakistanu, kazał obawiać się dużych trudności dla działalności kobiecej, a to ze względu na nieprzychylnie dla kobiet obyczaje w tym kraju, wynikające z religii muzułmańskiej. Obawy okazały się płonne, bowiem nie doceniliśmy gościnności Pakistańczyków oraz roli, jaką w przełamywaniu przeszkód odgrywał patronat nad wyprawą żony Premiera kraju, pani Begum Nusrat Bhutto. Jej też opiece mamy do zawdzięczenia otrzymanie zezwolenia na zaatakowanie Gasherbrumu III i wygranie w ten sposób swoistego przetargu wśród wielu ubiegających się o ten szczyt



Wanda Rutkiewicz — po zejściu z Gasherbrumu III
Fot. Ewa Abgarowicz

wypraw z różnych krajów. Niestety w tej fazie nie otrzymaliśmy zezwolenia na Gasherbrum II, który przypadł w udziale wyprawie francuskiej, pod kierownictwem lionczyka Jean-Pierre Frésafonda, i to postawiło znak zapytania nad dotychczasową koncepcją niezależnej działalności zespołu męskiego. Oba zespoły połączyły się więc formalnie, przy czym priorytet w zdobywaniu Gasherbrumu III pozostał przy kobietach.

Utrzymaliśmy nazwę „Wyprawa Kobieca Karakorum 75”, z której nie można się już było wycofać, ale wprowadziło to zamieszanie co do roli zespołu męskiego, zwłaszcza że celem wyprawy stał się tylko jeden szczyt. Znalezienie rozwiązania tego problemu przesunięto na później, co okazało się słuszne.

W skład ekipy wyprawowej weszli: grupa żeńska — Alicja Bednarz — KW Kraków, Alison Chadwick-Onyszkiewicz, Anna Czerwińska, Halina Krüger-Syrokomska (skarbnik), Sylva Kysilkova (CSRS), Maria Mitkiewicz (lekarzka), Anna Okopińska, Krystyna Pałmowska (łączność i elektronika), Wanda Rutkiewicz (kierownik wyprawy); grupa męska — Leszek Cichy, Andrzej Lapiński (kierowca), Marek Janas (1001 drobiazgów), Janusz Onyszkiewicz (zastępca kierownika, sprawy sprzętowe), Władysław Leszek Woźniak (żywność), Marcin Zachariasiewicz (transport) i Krzysztof Zdzitowiecki. Jako fotograf w wyprawie wzięła udział Ewa Abgarowicz, a ekipę filmową TV tworzyli Andrzej Zajączkowski (reżyser) i Zbigniew Pietrzkiwicz (operator). Wraz z pakistańskim oficerem łącznikowym, kapitanem Saadem Ahmed Malikiem, ekipa liczyła 20 osób.

Uzyskanie zezwolenia na Gasherbrum III — bądź co bądź najatrakcyjniejszy cel odkrywcy w Karakorum — przyczyniło się do ogólnej mobilizacji uczestników, w której wy-

niku wyprawa po zaledwie półrocznych przygotowaniach zdołała opuścić kraj — niemal bez opóźnienia w stosunku do planu.

Podstawowe znaczenie dla naszego przedsięwzięcia miała duża przychylność i życzliwość ze strony władz i instytucji. Jeszcze w grudniu 1974 r. uzyskaliśmy pomoc finansową od GKKT, a niewiele później — dodatkowy przydział dewiz od Ministerstwa Finansów. Komitet do Spraw Radia i Telewizji przeznaczył na potrzeby filmu następną poważną kwotę. Oprócz tego w kosztach wyprawy partycypowały miasto Warszawa, CRZZ oraz spółdzielczość. Umowy reklamowe ze zjednoczeniami Gospodarki Turystycznej „Orbis”, Produkcji Drobiarskiej „Poldrob”, Produkcji Sprzętu Sportowego „Pol-sport” oraz ze Zjednoczeniami Przemysłu Chemicznego dopełniły reszty. Łącznie koszty wyprawy wyniosły około 2,5 miliona złotych (z czego ok. 1,2 miliona przypadło na wykup 24 500 dolarów). Stosunkowo wysokie koszty dewizowe związane były ze szczególnie długim i skomplikowanym transportem bagażu wyprawy (7,5 tony) na terenie Pakistanu — zarówno drogą lotniczą, jeepami oraz ciągnikami, jak i — przede wszystkim — trzytygodniową pieszą karawaną (przeszło 250 km wzdłuż rzeki Braldo i następnie po lodowcu Baltoro).

PRZEJAZD I KARAWANA

Samochód wyprawy Jelcz 316 prowadzony przez A. Lapińskiego wraz z W.L. Woźniakiem i M. Zachariasiewiczem wyjechał z kraju 17 kwietnia i przez Turcję, Iran i Afganistan dotarł 7 maja do Islamabadu, stolicy Pakistanu. Wanda Rutkiewicz i Alison Chadwick-Onyszkiewicz odleciały z Warszawy 29 kwietnia do Kabulu, skąd autobusem przybyły 2 maja do Islamabadu. Pozostali uczestnicy wyprawy odlecieli 19 maja przez Moskwę do Duszanbe, a następnie przez Termez i Kabul dotarli do Islamabadu 17 i 18 maja. Sylva Kysilkova przyleciała z Czechosłowacji 13 maja.

Dzięki przychylności pani Bhutto, wyprawy udało się już 19 i 23 maja przerzucić wojskowym transportem lotniczym cały bagaż z Islamabadu do chłodniejszego Skardu, co m.in. zapobiegło psuciu się żywności. 23 maja uczestniczki wyprawy wzięły udział w przyjęciu wydanym przez ówczesnego ambasadora Alojzego Bartosza i jego żonę, Teresę Bartoszek, na którym honorowym gościem była Begum Bhutto. Wizyta ta, jak również wcześniejsze przyjęcie Wandy Rutkiewicz i Alison Chadwick-Onyszkiewicz w rezydencji pani Bhutto (9 maja), dały początek rozgłosowi, jakim wyprawa cieszyła się przez cały czas pobytu w Pakistanie.

Ostatnia grupa uczestników przyleciała do Skardu 26 maja, następnego dnia całość wyprawy dotarła wynajętymi jeepami i traktorami do odległej o 55 mil wioski Baha. W Skardu pozostawiono radiotelefon dalekie-

go zasięgu, powierzając go miejscowemu pracownikowi Radio Station, z którym ustalono dnie i godziny kontaktów. Niestety, ani z Baha, ani z dalszych miejsc nie udało się tego kontaktu nawiązać, wyprawa była więc pozbawiona łączności radiowej ze światem i tylko sporadyczne okazje umożliwiały wysłanie i otrzymywanie korespondencji.

28 maja wyruszyła z Baha karawana tragarzy, która wahadłowym ruchem przeniosła 240 ładunków do odległej o kilka mil wioski Dusso. Od chwili wymarszu wyprawa miała nieustające kłopoty ze znalezieniem tragarzy, m.in. dlatego, że wyprzedzały ją duże wyprawy — amerykańska na K2 oraz francuska na Gasherbrum II, które zatrudniły setki zdolnych do pracy osób i, co gorsza, zmuszały inne wyprawy do zapewnienia tragarzom tych samych warunków materialnych. Od Dusso wyprawa posuwała się w ciągłym rozbięciu, ponieważ nie można było zatrzymać głównego trzonu karawany (dzień postoju kosztował nas prawie 500 dolarów!), tył zaś organizowany był na bieżąco z dużym trudem przez J. Onyszkiewicza i podążał od jednego do trzech etapów dziennych poza grupą główną.

W Askole — ostatniej wiosce na trasie — zakupiono mąkę dla tragarzy, których zgodnie z przepisami od tego miejsca należało

żyć. W związku z trudnościami transportowymi, dokonano radykalnych ograniczeń wyposażenia wyprawy, w tym ekwipunku osobistego. Główny trzon karawany, który 3 czerwca opuścił Askole, liczył 287 tragarzy i zabrał materiał niezbędny do rozpoczęcia działalności w górach. Dla zorganizowania drugiego rzutu (23 tragarzy), który miał donieść głównie żywność niezbędną do ew. przedłużenia pobytu pod Gasherbrumami, zostali w Askole A. Chadwick-Onyszkiewicz i J. Onyszkiewicz. Do połączenia obu grup doszło dopiero po 10 dniach w rejonie Concordii.

Powracający z góry tragarze wyprawy amerykańskiej (600 osób), w tym 180 tych, którzy nie donieśli ładunków do bazy i przez to nie otrzymali zapłaty, doprowadzili do poważnego strajku naszych tragarzy w Paiju. Zażądali oni podwyższenia stawek, a także wypłat po każdym etapie dziennym, następnie zaś pewnych świadczeń od wyprawy na trasie przemarszu przez lodowiec: butów, skarpetek, okularów, paliwa i namiotów. Po dwudniowych pertraktacjach doszło do kompromisowego porozumienia i 8 czerwca karawana ruszyła dalej. 10 czerwca w Urdokas (ok. 4000 m) pozostała chora Sylwa Kysilkowa, która od tygodnia miała wysoką gorączkę. Zeszła ona w dół, odprowadzana przez Ewę Abgarowicz wraz z grupką tragarzy.



Uczestnicy wyprawy. Stoją od lewej: Wanda Rutkiewicz, Krystyna Palmowska, kpt. Saeed Ahmed Malik, Anna Czerwińska, Krzysztof Zdzitowiecki, Anna Okopińska, Leszek Cichy, Halina Krüger-Syrokomka, Janusz Onyszkiewicz, Alison Chadwick-Onyszkiewicz i Andrzej Łapiński. Siedzą u dołu: Andrzej Zajączkowski, Alicja Bednarz, Maria Mitkiewicz i Władysław L. Woźniak. Czterech osób brak.

Fot. Ewa Abgarowicz

Do Concordii (4600 m) tragarze dotarli 12 czerwca — w śnieżycy, która odebrała im chęć do dalszego marszu w górę. Po otrzymaniu zapłaty za całość wykonanej pracy (warunek kompromisu w Paiju), prawie wszyscy odeszli na dół. Pozostała 45-osobowa grupa, która za podwójną stawkę przeniosła w ładło wraz z uczestnikami wyprawy 138 ładunków do odległego o 2 etapy dziennie miejsca przyszłej bazy. W dniach od 15—19 czerwca wszyscy uczestnicy doszli do bazy, ostatnie zaś ładunki dotarły do niej 21 czerwca.

ZAKŁADANIE OBOZÓW

Bazę rozbiliśmy na wysokości 5200 m na morenie Lodowca Księcia Abruzzów — w miejscu, gdzie dochodzi do niego lodowiec Gasherbrum Południowy. W pobliżu stała baza wyprawy francuskiej, która kończyła właśnie działalność. Pierwsza jej dwójka — Yannick Seigneur i Marc Batard — dokonała 18 czerwca drugiego wejścia na Gasherbrum II (8035 m) — w dziewiętnastym dniu od przybycia na miejsce. Korzystając z wytyczonej przez Francuzów drogi na lodowcu, już 19 czerwca A. Łapiński, W. Rutkiewicz, W.L. Woźniak i K. Zdzitowiecki założyli obóz I (ok. 6000 m) — w wielkim płaskim kotle u stóp szczytów Gasherbrum I — Gasherbrum V. W dniu tym zepsuła się pogoda, która uwieźliła na wysokości ok. 7650 m drugą dwójkę Francuzów, atakującą szczyt. Po 2 nocach spędzonych na tej wysokości, jeden z nich, Bernard Villaret, którego choroba wysokościowa pozbawiła sił i zdolności oceny sytuacji, postanowił pozostać w szturmowym namiocie, drugi zaś, Louis Audoubert, zszedł na dół po pomoc. Niepogoda i niepełna aklimatyzacja uczestników wyprawy francuskiej stały się przyczyną tragedii. Nikt ze znajdujących się w niższym obozie nie mógł podejść do góry z ratunkiem. W dwa dni później, 22 czerwca, ostatnia grupa francuska opuściła obóz bazowy i zeszła z karawaną na dół, pozostawiając wrażenie, że zbyt łatwo zrezygnowano z jakiegokolwiek dalszej akcji ratunkowej.

Po odejściu Francuzów oficer łącznikowy naszej wyprawy wyraził zgodę na wejście zespołu męskiego na Gasherbrum III. Ponieważ droga francuska wiodła prawą grzędą, powrócono do koncepcji poprowadzenia nowej drogi — od strony przełęczy „G II — G III”. Ponieważ także grupa kobieca zamierzała atakować swój cel, Gasherbrum III, od strony przełęczy — do tego miejsca oba zespoły prowadziły w czasie dalszej akcji działalność wspólną.

24 czerwca, w pierwszym dniu pogody, wyruszyli z bazy do obozu I M. Janas, A. Okopińska, W. Rutkiewicz i K. Zdzitowiecki, a w dzień później — A. Bednarz, A. Chadwick-Onyszkiewicz, A. Czerwińska, H. Krüger-Syrokomska, K. Palmowska, L. Cichy, M. Zachariasiewicz, A. Łapiński,



Z „La Montagne” 3/1975 reprodukuje zdjęcie Gasherbrumów III (z lewej) i II (z drogami austriacką (z lewej) i francuską, wiodącą grzędą południową. A — obóz II (6700 m), B — namiot 7650 m (tu pozostał Bernard Villaret). Z prawej wierzchołek wschodni ok. 7770 m, dotąd dziewiczy.

Fot. Jean-Pierre Frésafond

ski, i W.L. Woźniak. Obie grupy powróciły do bazy.

27 czerwca następna grupa dotarła z bazy do wysokości 6400 m, rozpinając liny poręczowe i zostawiając przy ostatniej wymiesione ładunki (M. Janas, W.L. Woźniak, K. Zdzitowiecki — zespół poręczujący, A. Okopińska, W. Rutkiewicz, A. Łapiński — zespół transportowy). Powrót nastąpił do obozu I, w którym pozostawali M. Mitkiewicz i J. Onyszkiewicz. 29 czerwca niepogoda zmusiła wszystkich, w tym kolejną grupę transportową zaopatrującą obóz I, do powrotu do bazy.

Po wyjściu z bazy jeszcze jednego transportu do obozu I (A. Bednarz, A. Czerwińska, K. Palmowska i kapitan Saaded), 2 lipca wyruszyli A. Chadwick-Onyszkiewicz, H. Krüger-Syrokomska, M. Mitkiewiczowa, L. Cichy, M. Janas i J. Onyszkiewicz z zamiarem założenia obozu II (ok. 6500 m). Po nocy spędzonej w obozie I i po biwaku na wysokości 6400 m (bez M. Mitkiewiczowej) zespół ten 4 lipca wykonał swoje zadanie, a nadto uzupełnił poręczówki poniżej biwaku i założył je na ostatnim spiętrzeniu grzędy przed obozem II. Do tego miejsca dotarli w tym samym dniu A. Okopińska, W. Rutkiewicz, A. Łapiński, W.L. Woźniak i K. Zdzitowiecki, którzy — korzystając z świeżo założonego obozu — mieli zamiar następnego dnia ruszyć dalej w górę i zainstalować obóz III. Niepogoda w dniu następnym zmusiła jednak prawie wszystkich do odwrotu do bazy, w obozie I pozostał jedynie „zespół dyżurujący” (A. Chadwick-Onyszkiewicz, H. Krüger-Syrokomska, A. Łapiński, J. Onyszkiewicz i W.L. Woźniak), który w pierwszym dniu pogody miał ruszyć do obozu II i następnie próbować założyć obóz III. Ponieważ jednak po opadach wymiłka konieczność uciążliwego przecierania od nowa szlaku — plan ten powiodł się tylko częściowo.

Korzystając z pogody w dniach 6 i 7 lipca wyruszyli z bazy 2 zespoły: jeden z transportem ekwipunku (A. Bednarz, A. Czerwińska, K. Palmowska i kapitan Saaded), drugi z ponownym zadaniem założenia obozu III (M. Mitkiewicz, A. Okopińska, W. Rutkiewicz, L. Cichy, M. Janas, M. Zachariasiewicz i K. Zdzitowiecki). Zespoły te kolejno doszły do obozu II. A. Okopińska, W. Rutkiewicz, A. Bednarz, L. Cichy, M. Janas i K. Zdzitowiecki mieli ruszyć dalej, natomiast pozostali — razem z zespołem „dyżurującym” kolejno zejść do obozu I i do bazy. W obozie I pozostały A. Czer-



Gasherbrumy III (7952 m — z lewej) i II (8035 m) — widok z obozu I (ok. 6000 m). Oznaczono obozy II (ok. 6500 m) i III (ok. 7350 m).

Fot. Wanda Rutkiewicz

wińska i K. Plamowska, które po dniu odpoczynku miały ruszyć z ładunkami do obozu III.

9 lipca pozostali w górze zespół rozpiął liny poręczowe na spiętrzeniu lodowym powyżej obozu II — do wysokości prawie 7000 m, a po nocy spędzonej w 1 namiocie rozstawionym na wyrąbanej w stoku platformie, podzielili się na dwie grupy. Jedną z nich podeszła jeszcze 200 m wyżej i założyła na wysokości 7350 m obóz III (A. Bednarz, L. Cichy, M. Janas i K. Zdzitowiecki), druga zaś (A. Okopińska i W. Rutkiewicz) zeszła do obozu II po dalsze ładunki, by następnego dnia wraz z Czerwińską i Palmowską wynieść je do obozu III.

Tak więc po około 3 tygodniach działalności górskiej wyprawie udało się założyć i zaopatrzyć 3 podstawowe obozy, przygotowując teren do akcji szczytowych.

NIEPOGODA KRZYŻUJE PLANY

Nowy atak niepogody zmusił 14 lipca kolejny zespół transportowy (A. Chadwick, H. Krüger-Syrokomka, A. Lapiński i J. Onyszkiewicz) do wycofania się z wysokości około 7000 m i powrotu do obozu II. 15 lipca rozpoczął się opad śniegu trwający kilka dni i mający charakter nieomal kataklizmu: w bazie warstwa świeżego śniegu przekraczała pół metra! Powrót w tych warunkach zespołu J. Onyszkiewicza był szczególnie niebezpieczny na odcinku między obozem I a bazą — lodowiec obfitował w przysypane szczeliny, a bez widoczności był niezwykle trudny orientacyjnie. Na spotkanie wyszli więc z bazy A. Bednarz, W. Rutkiewicz, L. Cichy, M. Janas i K. Zdzitowiecki, wytyczając ślad w zwalach świeżego śniegu.

Następne wyjścia z bazy były już z założenia atakami szczytowymi. Według pierwot-

nych planów miały one być poprzedzone założeniem obozu IV na przełęczy, w trakcie akcji zrezygnowano jednak z tego, decydując się jedynie na wyniesienie niezbędnego sprzętu biwakowego (w tym 1 namiotu, który miał służyć do zabezpieczenia zejścia i jako ew. odwód na wypadek niepogody. Wprawdzie różnica wysokości między obozem III a przełęczą wynosiła tylko ok. 200 m, jednak znaczna odległość w poziomie stwarzała na tej wysokości w czasie niepogody duże zagrożenie.

19 i 20 lipca wyruszyli z bazy w odstępie 1 dnia zespoły męski i żeński z zamiarem zaatakowania Gasherbrumów II i III. Torując zespół męski (L. Cichy, M. Janas, J. Onyszkiewicz i K. Zdzitowiecki) dotarł 21 lipca do obozu III, tego samego dnia zespół żeński (A. Bednarz, A. Chadwick-Onyszkiewicz, A. Czerwińska, H. Krüger-Syrokomka, A. Okopińska i W. Rutkiewicz) osiągnął obóz II, zaś zespół rezerwowy (A. Lapiński, M. Mitkiewicz, K. Palmowska, W. L. Woźniak i kapitan Saeed) — obóz I. Niepogoda zmusiła wszystkich do przeczekiwania w obozach, a 24 lipca nastąpił generalny odwrót do bazy — z wyjątkiem zespołu rezerwowego, który przy poprawie pogody miał przede wszystkim założyć kilka poręczówek poniżej obozu III na odcinku najbardziej stromym i narażonym na lawiny. 26 i 27 lipca zespół ten, pracując z dużym poświęceniem, wypełnił swoje zadanie i przy drugiej próbie dotarł do obozu II. Ze względu na prawie huraganowy wiatr w dniu następnym nie udało się rozstawić tam dodatkowego namiotu, wobec czego zszedł na dół, spotykając po drodze idący do góry 8-osobowy zespół w składzie A.

Bednarz, A. Chadwick, H. Krüger-Syrokomska, W. Rutkiewicz, L. Cichy, M. Janas, J. Onyszkiewicz i K. Zdzitowiecki. Zespół ten, który 27 lipca w ciągu 1 dnia pokonał odległość między bazą i obozem II (1300 m przewyższenia), 28 lipca zaczął podchodzić do obozu III z zamiarem zaatakowania obu szczytów. Szansę przekreślił huraganowy wiatr, który zmusił całą grupę do odwrotu z wysokości ok. 7100 m i powrotu do obozu II. Po przeczekaniu tam niepogody i po zmniejszeniu składu (z uwagi na pojemność obozu III) atak został ponowiony.

DNI SUKCESÓW

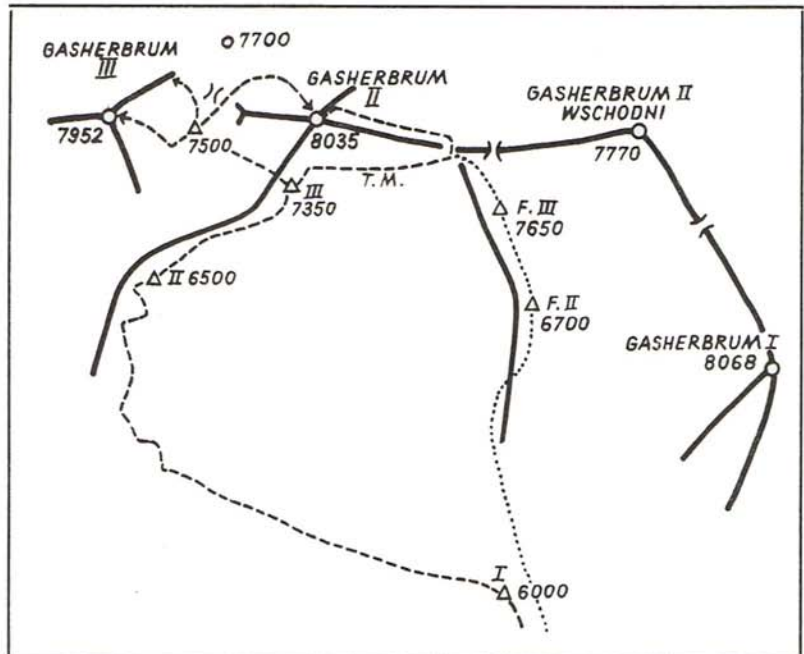
1 sierpnia piątce H. Krüger-Syrokomska, W. Rutkiewicz, L. Cichy, J. Onyszkiewicz i K. Zdzitowiecki udało się stanąć wreszcie na przełęczy między Gasherbrumami II i III (ok. 7550 m, I wejście) i wynieść część awaryjnego wyposażenia biwakowego. Zachodnia ściana kopuły szczytowej Gasherbrumu II wyglądała trudno i nie rokowała szans na przejście. Wobec tego L. Cichy, J. Onyszkiewicz i K. Zdzitowiecki zdecydowali się na przetrawersowanie u jej stóp do ściany północno-zachodniej i nią po przeszło 5-godzinnej wspinaczce osiągnęli wierzchołek (8035 m, III wejście, nową drogą, polski rekord wysokości) i następnie zeszli — łatwiejszą już granią wschodnią do obozu III, dokonując w ten sposób rzadkiego osiągnięcia — trawersowania tak wysokiego szczytu.

W tym samym czasie H. Krüger-Syrokomska i W. Rutkiewicz podeszły pod uskok

wschodniej grani Gasherbruma III, ale z powodu dużych trudności skalnych, nie rokujących szans na przejście jednodniowe, wycofały się z wysokości ok. 7700 m i powrócili do obozu III, a następnego dnia — razem z zespołem męskim — do bazy. Duże trudności grani kazały zwrócić powtórnie uwagę na środek wschodniej ściany kopuły szczytowej, a przede wszystkim na wybitny śnieżno-skalny kuluar, który oglądany z obozu III nie wyglądał zachęcająco i na początku był negowany jako ew. droga ataku.

Po wejściu na Gasherbrum II planowanie dalszej akcji nie było najłatwiejsze — przede wszystkim ze względu na liczne niedomagania uczestników wyprawy. Kontuzja kolana A. Czerwińskiej i bóle zębów A. Okopińskiej wyłączyły obie już z poprzedniej akcji. Przejściowie kłopoty zdrowotne ograniczyły w dużym stopniu możliwości A. Bednarz, odmrożenia stóp I i II stopnia u L. Cichego stanowiły problem sam w sobie, zaś przewlekłe zapalenie strun głosowych wyeliminowało M. Zachariasiewicza. Wobec znacznego znużenia ekipy przeszło 6-tygodniowym pobylem w górach, kolejny atak szczytowy na Gasherbrum III miał już znamiona ataku ostatniego, w związku z czym planowany był ze szczególną uwagą, by w sprzyjającej sytuacji można było przeprowadzić go w sposób naprawdę skuteczny.

4 sierpnia opuścili bazę M. Janas, A. Łapiński i W. L. Woźniak, którzy mieli wejść na Gasherbrum II drogą pierwszych zdobywców. Zespół ten po przeczekaniu niepogody w obozach I i II dotarł 8 sierpnia do obozu



Rejon działania wyprawy — według odręcznego szkicu Marka Janasa. Wysokości obozów (trójkątki) podane są w przybliżeniu. Drogę Francuzów wykropkowano. T.M. = trawers Moravca.

III, a 9 sierpnia osiągnął szczyt (8035 m, IV wejście) i powrócił do obozu III.

W dniach 8 i 9 sierpnia wyszły z bazy kolejno dwa zespoły. Wyjście ich było opóźnione o dzień w stosunku do planu z powodu wiadomości o tragedii na Broad Peak Middle, która spowodowała ogólne przygnębienie. Wiadomość tę przyniosła Ewa Abgarowicz, która po odprowadzeniu chorej Kysilkovej do Skardu wróciła na lodowiec Baltoro i dotarła do wyprawy wrocławskiej, gdzie przebywała przez cały czas jej działalności.

Myślą przewodnią ostatniej akcji szczytowej była możliwość przeprowadzenia dwóch kolejnych ataków na Gasherbrum III przez dwa równie silne zespoły kobiece. Jeśli pierwszy zespół podjął wpinaczkę wschodnią granią, miał przede wszystkim zaporeczować uskoki, a do szczytu iść tylko w razie sprzyjających okoliczności. Do pomocy przy poręczowaniu i dla ubezpieczenia akcji (bez wchodzenia na szczyt) miał mu towarzyszyć zespół męski. Drugi zespół kobiece miał w następnym dniu 2 możliwości: albo zdobyć Gasherbrum II granią z wykorzystaniem założonych poręczówek, albo wejść na Gasherbrum II drogą austriacką — z udziałem kapitana Saeeda, który wyraził dodatkowo zgodę na wejście kobiet na ten szczyt, pod warunkiem, że sam będzie w tym wejściu uczestniczył.

11 sierpnia A. Chadwick-Onyszkiewicz, W. Rutkiewicz, J. Onyszkiewicz i K. Zdzitowiecki dotarli do przełęczy, gdzie rozstawili namiot i pozostawili sprzęt biwakowy. Prognoza meteorologiczna przewidywała po południu zamiecie śnieżne i wiatr o prędkości do 65 km na godzinę, a w porywach i więcej. Wbrew pierwotnym zamierzeniom, aby zdążyć przed kolejnym atakiem niepogody (cykle dobrej i złej pogody następowały po sobie z dużą regularnością przez cały czas trwania wyprawy), zapadła decyzja o wchodzeniu na szczyt w czwórkę kuluaru wschodniej ściany. Po przyjrzeniu mu się z bliska, kuluar dawał większe szanse na wejście jednodniowe, jednakże tylko połączonymi siłami zespołów kobiecego i męskiego, ze względu na dużą ilość śniegu i konieczność częstych zmian przy torowaniu. Tak więc A. Chadwick-Onyszkiewicz, W. Rutkiewicz, J. Onyszkiewicz i K. Zdzitowiecki wyruszyli do góry razem i po około 10 godzinach wspinania około godziny 18 stanęli na szczycie Gasherbrumu III (7952 m, I wejście, polski rekord alpinizmu zdobywczo, najwyższy dziewiczy szczyt zdobyty z udziałem kobiet).

Pogoda nie uległa pogorszeniu, więc następnego dnia, 12 sierpnia, drugi zespół wyruszył z obozu II, by zgodnie z alternatywnym planem wejść drogą austriacką na Gasherbrum II. Z końca tzw. trawersu Moravca, z wysokości ok. 7600 m, zawrócił oficer łącznikowy i wraz z K. Palmowską dotarł do obozu III, gdzie przejął go zespół powracający

z przełęczy. W obozie II pozostały K. Palmowska i W. Rutkiewicz, ubezpieczając akcję szczytową na Gasherbrum II. Około godz. 16 H. Krüger-Syrokomka i A. Okopińska osiągnęły szczyt (8035 m, V wejście, europejski kobiecy rekord wysokości, pierwszy wyłącznie kobiecy zespół powyżej 8000 m), a następnie wróciły do obozu III. 13 sierpnia cała czwórka zeszła do obozu I, a dzień później do bazy — wraz z biwakującą na lodowcu grupą z oficerem łącznikowym.

13 sierpnia w celu załatwienia spraw transportu lotniczego bazę opuścili M. Zachariasiewicz i M. Janas, schodząc na dół razem z R. Messnerem i P. Habelerem, którzy gościli w bazie wyprawy od 24 lipca i, korzystając z naszego obozu I, weszli 10 sierpnia nową drogą na Gasherbrum I (8068 m). Ponieważ karawana powrotna została zamówiona na dzień 10 sierpnia, czasu starczyło już tylko na jeden wypad likwidacyjny: A. Chadwick-Onyszkiewicz, K. Palmowska, W. L. Woźniak i K. Zdzitowiecki w dniach 17—18 sierpnia znieśli co cenniejsze rzeczy, zgromadzone wcześniej w obozie I.

POWRÓT

Droga powrotna rozpoczęła się 20 sierpnia. 24 tragarzy przybyło do bazy w umówionym terminie razem z tragarzami karawany powrotnej wyprawy austriackiej, która pod kierownictwem Hannsa Schella dokonała (drogą pierwszych zdobywców) trzeciego wejścia na Gasherbrum I, w dzień po wejściu Messnera i Habelera. 21 sierpnia A. Chadwick-Onyszkiewicz, H. Krüger-Syrokomka, L. Cichy i J. Onyszkiewicz odłączyli się na Concordii od głównej grupy z zamiarem przeprowadzenia rekonesansu pod K2, jednak z powodu złej pogody zawrócili i dogonili karawanę w Urdokas. W tym samym dniu zgubili drogę na lodowcu A. Okopińska i A. Zajączkowski — po akcji poszukiwawczej W. Rutkiewicz i K. Zdzitowieckiego po 2 dniach obie grupy dotarły do Urdokas, gdzie zastały jeszcze karawanę, która przeczekiwała tam niepogodę. 25 sierpnia pozostała w Paiju A. Czerwińska wraz z towarzyszącymi jej A. Chadwick-Onyszkiewicz i J. Onyszkiewiczem w oczekiwaniu na zamówiony helikopter. Wyczerpanie się żywności uniemożliwiło czekanie dłuższe niż 2 dni i grupa ta zdecydowała się schodzić dalej sama, goniąc grupę główną. W pobliżu wioski Chongo odnalazł schodzących helikopter i zabrał A. Czerwińską do Skardu, pozostali zaś przybyli do Skardu 2 września.

Do wioski Baha karawana dotarła 29 sierpnia — w dniu przyjazdu zamówionych jeepów i ciągników. Tego samego dnia późno w nocy wyprawa dotarła do Skardu skąd — po 11 dniach oczekiwania na samolot — 9 września odleciała (bez bagażu) do Islamabadu. Bagaż dotarł tam dopiero 13 września. 19 września odbyła się w Ambasadzie PRL

w Islamabadzie konferencja prasowa, uczestniczki wyprawy udzieliły ponadto licznych wywiadów w prasie, radio i telewizji.

Samochód wyprawy wyjechał z Islamabadu 19 września. Część uczestników opuściła Islamabad wcześniej udając się autobusem i pociągiem do Kabulu, a dalej drogą lotniczą lub przez Termez do Warszawy (E. Abgarowicz, A. Czerwińska, A. Chadwick-Onyszkiewicz, H. Krüger-Syrokomka, A. Okopińska, W. Rutkiewicz, L. Cichy, J. Onyszkiewicz, K. Zdzitowiecki). Samochód wraz z jadącymi nim 9 uczestnikami przybył do Warszawy 24 października.

PODSUMOWANIE

Wyprawa nasza i wrocławska były pierwszymi polskimi wyprawami w rejon lodowca Baltoro, przy czym nasza odbyła najdłuższą z wszystkich polskich wypraw drogą do obozu bazowego. Akcja górską trwała około 2 miesięcy, pierwsze z wejść na szczyty miały miejsce po 6 tygodniach od przybycia do bazy. Podczas 4 udanych ataków końcowych na szczytach stanęło 12 osób (fizycznie 10, ponieważ dwie — Onyszkiewicz i Zdzitowiecki — zdobyły obydwie). W akcji górskiej wzięło udział 8 kobiet i 8 mężczyzn, przy czym kontuzje i choroby często zmieniały te proporcje. Powyżej bazy wyniesiono ok. 1070 kg wyposażenia z czego ok. 680 kg zostało przeniesione z obozu I do II, a z tej ilości ok. 277 kg do obozu III i wyżej. Zespół kobiecy wyniósł łącznie 450 kg, męski 630 kg. W sumie uczestnicy spędzili 331 nocy powyżej bazy głównej. Średnio przez przeszło połowę czasu pobytu w rejonie Gasherbrumów uczestnicy przebywali powyżej bazy. Przeciętna liczba wyjść z bazy wynosiła 6 na osobę, przy czym dwie osoby mają aż po 9 wyjść. Suma wszystkich podejść w przeliczeniu na jednego uczestnika wynosi średnio 12 000 m; 2 osoby przekroczyły sumę 15 000 m, co dla porównania odpowiadałoby pięciokrotnemu wejściu z bazy na Gasherbrum II. Wszyscy uczestnicy, z wyjątkiem jednego, przekroczyli co najmniej raz 7000 m, niektórzy osiągnęli tę wysokość po 6 razy.

Wyprawa była przedsięwzięciem trudnym zarówno z racji celów, jak i założeń organizacyjnych. Składała się z 2 grup: żeńskiej i męskiej, które miały własne zadania, ale jednocześnie tworzyły jeden organizm wyprawowy. Powodowało to, że w planowaniu i prowadzeniu akcji górskiej trzeba było kierować się nie tylko zasadami efektywnego działania, lecz także nie zawsze zbieżnymi interesami obydwu partnerskich grup. Na szczęście większość uczestniczek i uczestników z sytuacji tej dobrze zdawała sobie sprawę. Przy tak ząbajającej się działalności dochodziło do różnic zdań co do sensu prowadzenia niezależnej akcji powyżej obozu III, której samodzielność — wobec wspólnej pracy poniżej obozu III — wydawała się problematyczna. Wszystkie plany przewidywały wyłącznie kobiecy atak na Gasherbrum III. Część



Pierwsze wejście na Gasherbrum II w r. 1956 pocztą austriacką uczcila wydaniem okolicznościowego znaczka.

uczestniczek i uczestników stała na stanowisku, że wyodrębnianie zespołu kobiecego mija się tu z celem i szczyt należy atakować najsilniejszym zespołem wyprawy, traktowanej jako całość, aby nie zaprzepaścić niepowtarzalnej szansy zdobycia tego wysokiego siedmiotysięcznika. Dopiero po zakończonej szczęśliwie działalności górskiej i zdobyciu Gasherbrumu III przez zespół mieszany nastąpił przekorny powrót do deklaracji o wyłącznie kobiecym wchodzeniu na szczyt.

Dzięki dużemu zdyscyplinowaniu i niezwykle aktywnemu włączeniu się wszystkich w realizację planów akcji górskiej wyprawa osiągnęła więcej, niż przewidywała w kraju.

Zespół kobiecy zdobył na Gasherbrumach poważne doświadczenie wyprawowe, co powinno zaprocentować przy organizowaniu następnej imprezy kobiecej tego rodzaju. Wyprawa stworzyła okazję do unifikacji umiejętności, a także do bezpośredniej konfrontacji możliwości i postaw poszczególnych alpinistek, które dotąd zdobywały swe doświadczenie indywidualnie, najczęściej przez udział w wyprawach męskich. W różnych fazach przygotowani a także w czasie akcji górskiej wychodził niekiedy na jaw brak rutyny organizacyjnej (bo i skąd?), zdarzały się też przypadki konsumpcyjnego stosunku do wyprawy. Te i inne mankamenty są do uniknięcia w przyszłości, zwłaszcza że z roku na rok zwiększa się kadra alpinistek prowadzących samodzielną działalność, przyzwyczajającą do odpowiedzialności za podejmowane decyzje.

Obecność zespołu męskiego niewątpliwie ułatwiła himalajski debiut kobiet i walenie przyczyniła się do ogólnego sukcesu wyprawy. Różnice między możliwościami obu grup były dość znaczne w niższych regionach, niwelowały się jednak wraz z wysokością i upływem czasu. Wyrażało się to zarówno w czasie podejść i ataków szczytowych, jak i w wadze transportowanych ładunków. I tak np. z bazy do obozu I wyniosły kobiety 450 kg sprzętu i żywności, mężczyźni zaś 630 kg. Z obozu I do II kobiety 302 kg, mężczyźni

378 kg. Z obozu II do III — kobiety 124 kg, mężczyźni zaś 153 kg.

Pora teraz na pytanie, czy następna wyprawa ma być wyłącznie żeńska? Czy udział Szerpów w akcjach szczytowych Japoniek pozwala mówić o wyprawach żeńskich? Spotkany przez nas w Skardu kierownik sportowy przyszej japońskiej wyprawy na K2, Mitsuo Hiroshima, okazał duże zainteresowanie naszym modelem kooperacji dwóch zespołów, biorąc za punkt odniesienia japońskie wyprawy kobiece. Zajęcie stanowiska w tej sprawie wymaga na pewno większego dystansu

czasowego. Eksperyment można powtórzyć, zadbać by jednak trzeba o pełny rozdział celów i rzeczywiście niezależną działalność obu zespołów, które ubezpieczyłyby się wzajemnie samą swoją obecnością. Wyprawa dwuzespołowa jest jednak bez wątpienia przedsięwzięciem skomplikowanym i trudnym organizacyjnie, niełatwo też znaleźć dwa sąsiadujące lecz autonomiczne cele i w dodatku uzyskać na nie pozwolenia. Problem złożony i wart gruntownego przedyskutowania — nie tylko z punktu widzenia polskiego alpinizmu kobiecego.

KRZYSZTOF ZDZITOWIECKI

Gasherbrum II — nową drogą

Atak szczytowy rozpoczął się 19 lipca. Wyruszyliśmy czwórką: Leszek Cichy, Marek Janas, Janusz Onyszkiewicz i ja. Mieliśmy uzupełnić zaopatrzenie obozów I — III, rozbić na przełęczy namiot obozu IV i wejść z tej przełęczy na Gasherbrum II. Po intensywnych opadach śniegu nastąpiła piękna pogoda — nocami srożyły się silne mrozy, w dzień — szalone upały. Większa część drogi do obozu I była przetarta, ale ostatnie paręset metrów dało nam przedsmak przyszłych rozkoszy. Lodowiec był pokryty metrową warstwą świeżego śniegu, na którym uformowała się pokrywa sreni. Była akurat tak gruba, aby zarywać się w momencie dawania kolejnego kroku. Namioty zastaliśmy zasypane po kalenicę. Odkopaliśmy trzy, na czwarty zabrakło sił i ochoty.

Drugi dzień podejścia — droga do obozu II — był przeszło 8-godzinna męczarnia. Takiego torowania dawno się przeżywałem. W normalnych warunkach 20-minutowy płaski odcinek lodowca zajął nam półtorej godziny „orania” powyżej kolan. Na początku podejścia zmienialiśmy się w prowadzeniu co 15 minut, a chorągiewka traseru oznaczającego początek nialiśmy się w prowadzeniu co 15 minut, poręczówek zbliżała się bardzo powoli. Wreszcie dotarliśmy do niej i rodzaj „przyjemności” uległ pewnej zmianie. Można było pomagać sobie liną, ale przedtem należało uwolnić ją od śnieżno-lodowej skorupy. Wreszcie poręczówki zostały za nami. Od obozu II dzieliło nas 80 metrów łagodnego stoku. Zazwyczaj przejście tego odcinka trwało 5—10 minut, teraz była to prawie godzinna walka ze śniegiem sięgającym do pasa. Ostatkiem sił dotarliśmy... nad namioty. Były pod naszymi nogami, całkowicie przykryte śniegiem. Nad powierzchnię wystawał tylko róg jednego z nich i wbity obok traser. Znowu odbyliśmy długie i męczące prace wykopaliskowe.

Trzeci dzień byłby podobny do drugiego, gdyby nie zmiana pogody. Ponad 10 godzin brnęliśmy do góry walcząc z kolejnymi zaspami i wyrwijąc spod śniegu liny poręczówek. Niebo powoli szarzało, zasnuwając się chmurami. Na szczęście obóz III był zasypany w stopniu umiarkowanym. Z większością śniegu uporał się za nas wiatr. Mocno zmęczeni położyliśmy się spać — z nadzieją na roz pogodzenie. 22 lipca przywił nas jednak silnym wiatrem, mgłą i opadem śniegu. Cały dzień przeczekiwaliśmy w namiocie pomysłu Whilansa. Od wiatru chronił cudownie, niestety okazał się zbyt szczelny: wskutek braku wymiany gazowej przez impregnowane ścianki, szybko zużywałyśmy zawarty w powietrzu tlen, którego i tak na tej wysokości nie było za wiele. Zaczęliśmy odczuwać duszność, gaśły maszynki butanowe. Trzeba było otwierać wejście i wpuszczać świeże powietrze, a z nim szalejącą na zewnątrz zawieję. We wnętrzu namiotu robiło się przy tym coraz to bardziej mokro.

Następnego dnia pogoda nie uległa zmianie i z ciężkimi sercami ruszyliśmy w dół. W ciągu półtorej godziny zeszedliśmy na wysokość 6950 m, skąd ciąg poręczówek sprowadził nas do obozu II. Większość dziewczycyn wycofała się już, powitały nas tylko Halina i Alison. Ponieważ obóz I był przepełniony, zostaliśmy na noc tu. Dla mnie była ona bardzo przykra. Zajęliśmy z Markiem ortalionową „Turnię” mającą tę cudowną właściwość, że gromadziła w swym wnętrzu niewyczerpane i ciągle odnawiające się zapasy wody. Za to mieliśmy, zresztą jak i załogi innych namiotów, tylko jedną menażkę.

Rano rozpocząłem dalsze zejście głodny, ale pozornie wypoczęty. Już po kilkudziesięciu metrach stwierdziłem, że ledwo powłóczę nogami. Moi towarzysze poszli z pięcioma dziewczynkami do bazy, ja zostałem na wypoczynek

w obozie I. Pierwszą noc spędziłem z grupą Leszka Woźniaka. Następnego dnia pogoda zaczęła się poprawiać i grupa ta ruszyła do góry. Zostałem sam. Przez 2 dni odkopywałem i doprowadzałem do porządku namioty i ich zawartość, a przede wszystkim nabierałem sił. Nade mną grupa Leszka pracownicy przecierała drogę do obozu II a potem III i zakładała dodatkowe poręczówki powyżej 7000 metrów. Zazdrościłem im możliwości działania w górze i zastanawiałem się, czy sam zdołam odzyskać dobrą formę. W dodatku miałem radiotelefon z wyczerpanym akumulatorem, a zapomniawszy nakręcić zegarek nie wiedziałem nawet która jest godzina.

Po dwóch dniach samotności, 27 lipca rano, ujrzałem zbliżających się do obozu dwóch alpinistów nie należących do naszej wyprawy. Byli to Reinhold Messner, którego poznałem 3 lata wcześniej pod Noszakiem, i Peter Habeler. Przybyli oni atakować we dwóch Gasherbrum I. Niedługo po nich zaczęli dochodzić członkowie naszej wyprawy: moi 3 partnerzy oraz Wanda, Ala, Halina i Alison. Było bardzo wcześnie, a samopoczucie większości przybyłych znakomite, wkrótce też całą ósemką podchodziliśmy do obozu II. Dzięki świeżym śladom było to coś zupełnie odmiennego od walki ze śniegiem sprzed kilku dni. Po 4 godzinach byliśmy na miejscu.

Po noclegu ruszyliśmy wyżej, znów wygodnymi stopniami wypracowanymi przez Leszka Woźniaka, Andrzeja Lapińskiego i Krysię Palmowską. Spotkaliśmy ich schodzących po biwaku w obozie III. Wiadomości mieli niewesołe. W obozie wiał silny wiatr, nie dało się rozstawić trzeciego namiotu ani oczyścić przysypanej do połowy „Turni”. Tylko, zaledziony co prawda od środka, Whillans box nadawał się do względnie normalnego użytku. Tymczasem pogoda zaczęła się psuć i na naszej wysokości. Na niebie pojawiły się chmury, uderzyły w nas podmuchy wiatru. Z powracającą trójką Wanda odesłała Alę. Niedługo pozostała siódemka też zawróciła, aby czekać na wyjaśnienie się sytuacji w obozie II. Byłem przygnębiony, na krótko przestałem nawet wierzyć w szansę powodzenia. W ciągu nocy rozszalała się zawierucha — ta sama, w której na Broad Peaku walczyli o życie nasi koledzy z wyprawy wrocławskiej. Postanowiliśmy czekać dalej. Niestety remanent jedzenia i butanu wypadł niepomyślnie. Było nas zbyt liczne grono. Trzydziestego w południe Marek i Alison musieli zejść na dół. Tymczasem pogoda zaczęła się poprawiać. Zdecydowaliśmy się we czwórkę (trzech mężczyzn i Wanda) przetrzeć podejście do położej części grzędy, tj. do wysokości 6950 m. Halina została, by uporządkować obóz. Torowanie było nadspodziewanie łatwe: wiatr wymiótł większość świeżego śniegu a pozostały ubił. Po 4 godzinach byliśmy wszyscy z powrotem w namiotach.

Następnego dnia chcieliśmy wyruszyć o świcie, ale całą noc znów harcował wiatr.

Wreszcie ucichł i nastąpił piękny, słoneczny dzień. W dodatku w cudowny sposób odzyskałem siły. Jedynym odcinkiem, gdzie musieliśmy ciężko pracować, było mijanie skał grzędy na wysokości od 7050 do 7250 metrów. Leżał tam głęboki śnieg, ale były także świeżo założone poręczówki. Stanowiły prawdziwe wybowienie. Szybko doprowadziliśmy obóz III do stanu używalności.

Po niezłej spędzonej nocy wyruszyliśmy dalej. Najpierw trochę do góry, potem długim trawersem w stronę przełęczy. To już była strefa nieznana. Oprócz wyposażenia „szturmowego” nieśliśmy minimalne wyposażenie obozu IV: namiot, maszynkę butanową, mezażki, trochę żywności. Chcieliśmy wyruszyć wcześniej, ale nad ranem zerwał się wiatr i trzeba było czekać na słońce. Niewiele ono zresztą grzało. Nogi zaczęły mi marznąć zaraz po opuszczeniu namiotu. Przyjąłem dość proste założenie, że skoro bołą, to mam w nich czucie i wszystko jest w porządku. Gdy tylko ból ustawał zaczynałem je intensywnie rozgrzewać — do bólu. Wtedy znów uznawałem, że wszystko jest w porządku i szedłem dalej. Tak było cały dzień. No i nóg nie odmroziłem. A Leszek, który zawierzył pastylkom rozszerzającym naczyńa krwionośne, leczył potem piękne pęcherze na palcach.

Opatuleni w kurtki puchowe, niosąc na plecach po kilkanaście kilogramów, brnęliśmy niekończącym się zbozcem. Trawersu było przeszło kilometr. Złośliwa architektura górską skrywała przed nami widok przełęczy niemal do ostatniej chwili. Wreszcie, po trzech godzinach, stanęliśmy na niej. Ale nad nią zamiast „uczciwych” grani piętrzyły się skalne ściany. Grań Gasherbrumu III urywała się



Gasherbrum II (8035 m) z drogą północno-zachodnią ścianą (L. Cichy, J. Onyszkiewicz i K. Zdzitowiecki — 1 sierpnia 1975)

Fot. Janusz Onyszkiewicz

100-metrowym uskokiem, zaś Gasherbrum II zwracał ku nam 300-metrowe przewieszony miejscami urwisko. Sama przełęcz okazała się śnieżną równiną z porozrzucanymi bezładnie blokami skalnymi. Pod jednym z nich złożyliśmy wyposażenie obozu i rozdzieliliśmy się. Wanda i Halina poszły szukać słabego punktu w barierze skalnej broniącej dostępu do grani Gasherbruma III.

Nam początkowo opadły ręce. Ale Janusz głęboko wierzył w istnienie możliwości wejścia na Gasherbrum II od północy. Za przełęczą rozciągało się plateau i zaczęliśmy obchodzić naszą górę w kółko. Po chyba kilometrze marszu odkryła się nad nami w środku północno-zachodniej ściany śnieżno-lodowa depresja, przecięta dwoma pasami skał. Było późno, po jedenastej, ale bez namysłu ruszyliśmy ku niej. Prowadziliśmy na zmianę. Skończyło się jednak regulowanie tych zmian przy pomocy zegarka. Każdy prowadził tyle ile mógł, następnie stawał na odpoczynek, rozgrzewał nogi i gonił pozostałych, aby znów wyjść na prowadzenie. Stromość ściany rosła. Śnieg był zmienny — miejscami po kolana, miejscami twardy jak lód. Pasy skał pokonailiśmy bardzo stromymi śnieżnymi rynkami. Tempo wspinaczki było doskonałe — przekraczało 120 m różnicy poziomów na godzinę. Wiatr wzmagał się, miotając tumany śniegu. Nagle szybkość poruszania się spadła: natknęliśmy się na 100-metrowy pas bardzo głębokich zasp niezwiązanego śniegu. Zaczął go Leszek. Gdy się zmęczył, kolej przyszła na mnie. Zamiast forsować go powoli i systematycznie, niepotrzebnie zacząłem się spieszyć. Drogo mnie to kosztowało. Po przebyciu 30 czy 40 metrów zupełnie wyczerpany przesunąłem się na koniec. Teraz walczył Janusz, po nim znów Leszek. Wreszcie i ta przeszkoda została za nami.

Byłem zmęczony i poprosiłem o zwolnienie z kolejnego prowadzenia. Ale Janusz też

jeszcze nie zdążył odpocząć. „Poprowadź choć trochę”. Poszedłem i jakoś to było. Bardzo stromy stok wiatr uformował w szereg zlodowaciałych zastrug o prawie pionowych ściankach. Lawirując między nimi dotarliśmy pod pionową turnię skalną, gdzie trochę mniej wiało. Ciągłe nie wiedzieliśmy, gdzie jest szczyt, postanowiliśmy więc chwilę odpocząć. Ale było paskudnie stromo i Leszek podszedł jeszcze kilkanaście metrów.

— Jestem na szczycie! — krzyknął nagle. — Tu nie wieje.

Po chwili byliśmy znów razem. To był naprawdę szczyt, a tuż przy nim osłonięta od wiatru kotlinka. Była godzina 16.20. Pięćsetmetrową ścianę pokonailiśmy w 5 godzin. Słońce pięknie świeciło i powoli dochodziliśmy do siebie. Jeszcze zdjęcia, kontakt radiowy z bazą, z której koledzy widzieli nas przez lunetę, i na wokandzie stanął problem zejścia. Powrót tą samą ścianą, byłby bardzo trudny i nieprzyjemny. Leszek wyjrzał w kierunku wschodnim i zaproponował zejście drogą Austriaków. Podszedłem ku krawędzi i przestałem mieć jakiegokolwiek wątpliwości. Krótki, stromy odcinek pod samym szczytem, a dalej „zimowy spacer na Rysy”, jak to po swoim wejściu obrazowo określił Andrzej Łapiński. Związaaliśmy się liną (wiadomo, że najniebezpieczniejsze są łatwe zejścia) i ruszyliśmy w dół. Niezły śnieg, teren osłonięty od wiatru. Prawdziwa ulga. Zaczęliśmy schodzić o 17.20, o 19.30 byliśmy już w obozie III.

Był 1 sierpnia, czternasty dzień od chwili opuszczenia przeze mnie bazy, jeden z najpiękniejszych moich dni górskich. Byłem zmęczony, ale, o dziwo, mniej niż po przeczekiwaniu niepogody tydzień wcześniej. Na tyle mniej, że następnego dnia wieczorem świętowaliśmy sukces w bazie. Wielka przygoda, zwana Gasherbrumem II, dla naszej trójki dobiegła końca.

WANDA RUTKIEWICZ

Gasherbrum III zdobyty

11 sierpnia. Obóz III. Obudziłam się o wpół do czwartej, ale do przytomności było mi daleko. Zachowywałam się jak lunatyk, prawie zasypiając z łyżką w ręce. Mimo zaspania zauważyłam rzecz zdumiewającą: Alison, która nienawidzi rannego wstawania i po obudzeniu zachowuje się zazwyczaj jak manekin, tym razem była uosobieniem energii. Z namiotów wyszliśmy kilkanaście minut po piątej, a o wpół do ósmej dotarliśmy do pozostańców na przełęczy rzeczy. Wysiłek po-

dejścia rozbudził mnie zupełnie. Namiot ustawiliśmy na śnieżnej rampie u stóp pięknej, oświetlonej wschodzącym słońcem ściany Gasherbruma III. Skała miała kolor brązowo-pomarańczowy i sprawiała wrażenie ciepłej. Ale temperatura była bardzo niska, po zdjęciu rękawiczek natychmiast straciłam czucie w palcach. Krzysztof zaczął się denerwować, że jest późno:

— Zdecyduj, którądy idziemy — mówił szorstko. — Ja nie mam wyrobionego zdania.

Kuluar jest chyba łatwiejszy, ale boję się zejścia. Pójdę, gdzie zadecydujesz.

Chryste, od dwóch godzin myślę tylko o tym: którędy? Żeby to można było wiedzieć, czy ten mały cirrus na niebie pojawił się tak sobie, czy też jest oznaką zapowiadanych na popołudnie zamieci i wichury.

— Janusz, a ty jak myślisz?

— Ja jestem za granią.

Odruchowo popatrzyłam jeszcze raz w tamtą stronę. Dzisiaj nią raczej nie dojdziemy do szczytu, a jeśli pogoda się pogorszy, to drugi zespół jutro też nie dojdzie i szczytu nie zdobędzie w ogóle. Opóźniałam jednak podjęcie decyzji, która była zaprzeczeniem moich pragnień, gorączkowo szukałam jeszcze innych możliwości, ale jak wańka-wstańka wracałam do tej jednej: kuluar wydaje się rzeczywiście łatwiejszy niż grań i jeżeli pójdziemy nim w czwórkę, to mamy szansę dotrzeć dzisiaj do szczytu. Może zdążymy przed kolejnym cyklem śnieżyc, który regularnie, jak dotąd, zaczynał się po trzecim lub czwartym dniu dobrej pogody.

Za duża stawka — myślałam — by ryzykować odkładanie ataku do jutra. Chyba nikt nie będzie miał do mnie pretensji o wygranie tej stawki przez połączenie obu zespołów i wspólny atak. Halina, która z dziewczynami i Saedem jest już w drodze do obozu III, zrobiłaby pewnie to samo, tym bardziej, że była za atakiem mieszanym, o mało nie zdołała mnie nakłonić do pójścia z chłopcami na grań Gasherbruma III dziesięć dni temu. Dziewczyny nie podchodzą do obozu III na darmo: jeśli pogoda pozwoli pójdą jutro na Gasherbrum II, a Anka mówiła nieraz, że wołałaby wchodzić na ośmiotysięcznik.

— Pójdiesz Krzysiu kuluarzem w czwórkę? — zwróciłam się specjalnie miękko do wyraźnie już złego Krzysztofa.

Klamka zapadła, od tego momentu przestałam przeżywać kierownicze rozterki i skupiłam się na samej akcji. Krzysztof ruszył do przodu jak zawodnik na starcie i zaczął zakładać ślad na śnieżnej rampie, prowadzącej do wylotu kuluaru. My obie z Alison zostałyśmy jeszcze chwilę przy namiotach. Wyciąganie decyzji z niej było trudne na normalnej wysokości, a co dopiero tutaj. O ile ją poznałam, byłaby raczej za dokładnym trzymaniem się planu i wyłącznie kobiecym wejściem, nawet za cenę niezdobycia szczytu.

Po godzinie dogoniliśmy Janusza i Krzysztofa, których przystopowały trudności. Krzysztof stał pod przewieszonym skalnym progiem kuluaru w tak stromym lodzie, że dochodząc do niego po wyrąbanych stopniach musiałam się wspinać. Janusz był już wyżej i powoli posuwał się w prawo w górę śnieżno-skalnym terenem, umożliwiającym obejście progu z prawej strony. Po około 30 metrach założył stanowisko, stając na udeptanych w śniegu stopniach. Doszłam do niego zgrzytając nieprzyjemnie rakami o skałę i często obsuwając się ze śniegiem na niższe stopnie.



Gasherbrum III (7952 m) widziany spod szczytu Gasherbrumu II. Wkreślona jest droga pierwszego wejścia. Z prawej ciemny uskok grani, przez który początkowo planowano atak.

Fot. Marek Janas

Ruszyłam dalej. Nie lubię stanowisk z jedynym hakiem, więc po kilku metrach wbiłam następny. Po prawie 20 metrach dosyć łatwej wspinaczki należało przejść w lewo, z powrotem do kuluaru. Trawers wyglądał bardzo niemiło: na stromych płytach skalnych leżała cienka warstwa śniegu, płyty były niekorzystnie uwarstwione. Wbiłam jeszcze jeden hak, słaby zresztą. „Przynajmniej postawi mnie na nogi, jeśli spadnę” — pomyślałam. Byłam związana z Alison cienką liną zjazdową, która w tej sytuacji wydawała mi się szczególnie cienka. Ruszyłam ostrożnie i powoli w lewo w górę. Było mi gorąco z emocji, czas upływał niepostrzeżenie, tuż przed dwunastą po zrobieniu ostatecznych kilku ryzykownych kroków z ulgą dopadałam śniegu w kuluarze. Południe. Wywołałam bazę. Przerzywanym głosem, bo jeszcze nie uspokoiłam oddechu, powiedziałam do radiotelefonu:

— No więc wszystko w porządku, nachylenie stoku znośne, właśnie zawieszamy linę, która umożliwi nam zejście przez ten próg... z tą przewieszką, którą ominęliśmy... trawersami w prawo i w lewo...

Jeszcze przez jakiś czas konferowaliśmy na temat dalszej drogi, widocznej dosyć dobrze z bazy. W końcu schowałam radiotelefon do plecaka.

— Można iść — krzyknęłam na dół. — Zabierzcie ze sobą *dedmena*, bo nie mam z cze-

go założyć stanowiska, nie skaczcie na linie. Kto idzie teraz?

— Alison. Dobrze weźmie ze sobą *dedmena*.

Po dojściu, Alison założyła stanowisko z tego angielskiego wymysłu, do którego nie miałam w tych warunkach ani krzty zaufania: śnieg był za stromy i za słabo związany. Ale mówić źle o tej zakopanej w śniegu duralowej płytce znaczyłoby ranić uczucia Alison.

W kularze rozwiązaliśmy się, a chłopcy zabrali liny do plecaków. Wydało się, że następny odcinek podejścia nie będzie trudny. Ruszyliśmy do góry, torując z Krzysztofem i Januszem, ale po około stu metrach dalszą drogę zamknęła wielka skalna ściana. Od tego miejsca istniała możliwość pójścia w prawo w górę stromym zachodem, który doprowadzał kolejno do dwóch kularów wychodzących już na grani szczytową. Stromizna śniegu była tutaj zwrotna, śnieg trzymał się skały nie wiadomo jak. Ten trawers kosztował nas najwięcej sił. Trzeba było odgarniać rękami śnieg sprzed nosa, żmudnie udeptywać stopień, który najczęściej nie wytrzymał ciężaru ciała i torujący obsuwał się w śnieżnym puchu z powrotem. Janusz doszedł prawie do połowy zachodu i stanął w słońcu tuż za granicą cienia. Krzysztof próbował podejść pod pierwszy kular.

— Tam powinno być łatwo — stwierdził.

Ale kiedy zobaczyłam, że stoi opierając końce raków o występ skalny i że nie może zdecydować się na zrobienie następnego ruchu, wiedziałam już, że raczej tamtędy nie pójdziemy. Poszliśmy dalej śniegiem. Teraz Alison ruszyła naprzód, potem znowu ją ktoś zmienił.

Wejście do drugiego kularu okazało się bardzo niebezpieczne. Każdy krok trzeba było stawiać delikatnie, próbując, czy raki przebijające cienką warstwę śniegu utrzymają na skale. Nie można było pozwolić sobie na żaden nieostrożny ruch, najmniejszy błąd tu mógł spowodować konsekwencje ostateczne. Niebezpieczeństwo zmobilizowało mnie i złapałam drugi oddech. Wysłałam na prowadzenie i szłam dalej jak maszyna, równo i dosyć szybko, jak na tę wysokość. Za szybko. Zatkąło mnie kilkanaście metrów poniżej grani i odpoczywałam trzęsąc się z zimna. Po śladach odbili do mnie pozostali, pierwszy ruszył dalej Janusz, który teraz szedł związanym z Alison.

Kiedy dotarłam do grani, umocowywał właśnie koniec zjazdówki do haka wbitego pod szczytem turniczki, którą musieliśmy ominąć, by dojść do przełączki przed ostatnimi, śnieżnymi już wzniesieniami. Za pomocą założonej liny przetrawersowaliśmy z boku turniczki w lewo i kiedy doszliśmy do przełączki, stanęliśmy naprzeciw zachodzącego już słońca, które wyraźnie grzało, zwłaszcza że wiatr trochę uciął. „Szczyt powinien być kilkanaście metrów wyżej” — pomyślałam. Grań od zachodniej strony spadała na stronę chińską stromym śnieżnym zboczem. Kiedy do-

szliśmy do przełączki rozdzielającej dwa śnieżne garby, zwróciłam się do Janusza:

— Zaczekaj, pójde zobaczyć, który jest wyższy. Ten dalszy sprawia wrażenie najwyższego punktu grani.

Nie czułam zmęczenia, przepełniała mnie radość, czułam niezwykłą w porównaniu do ostatnich godzin lekkość. Ostrożnie weszłam na ostatnie śnieżne wzniesienie, uważając, by nie stanąć na nawisie. Byłam chyba na szczycie. Z drugiej strony grani wionął dojmujący chłód. W dole, tysiąc metrów niżej, była baza i ludzie przy lunecie. „Może mnie widzą” — przemknęło mi przez myśl. Kiedy obejrzałam się wstecz, pierwsze wzniesienie wydało mi się jednak wyższe. Wróciłam na przełączkę, na której stali już wszyscy. Od szczytu wzniesienia dzieliły nas dosłownie metry. Krzysztof ruszył przodem.

— Zaczekaj — krzyknął Janusz — niech dziewczyny wejdą pierwsze.

Wreszcie na szczycie. Nie jestem w stanie nic sobie uświadomić, nic odczuć w tym momencie. Wiem tylko, że nie trzeba już iść wyżej. Z tego miejsca tamto wzniesienie znowu wydało mi się wyższe. A niech tam, to właściwie wszystko jedno, które jest wyższe naprawdę. Wyciągnęłam radiotelefon i zgłosiłam się do bazy:

— Czujemy się dobrze, dopiero dotarliśmy, najbardziej nam dokuczał śnieg... myślałam, że po prostu już nie dojdziemy przez ten śnieg... Na szczęście jesteście... Niedługo posiedzimy, bo jest późno, schodzimy naszymi śladami...

— Dobra, przede wszystkim cholerne... cholerne gratulacje i naprawdę... rzeczywiście krótko siedźcie, poróbcie tylko mnóstwo zdjęć i... bardzo szybko schodźcie i bardzo uważnie, jest jednak dosyć późno, a tam jest stromo i niebezpiecznie...

O godzinie 18 włączyła się Halina z obozu III:

— A więc Wanda, gratulacje od nas wszystkich... również od Saeda, przykro mi tylko, że nie mogę ci złożyć gratulacji za czysto kobiece wejście... My idziemy jutro na G II, tak?

Chmury zaczęły się podnosić i wpelżyły na przełęcz między Gasherbrumami II i III. Zrobiło się bardzo zimno, bowiem słońce prawie już zaszło. Przywiązałam do czekana flagi pakistańską i polską. Alison dowiązała jeszcze żółtą chorągiewkę swej rodzinnej Kornwalii. Fotografowaliśmy się z tym czekaniem wszyscy.

„Trzeba schodzić, zaraz zrobi się ciemno” — myślałam, ale nikt nie dawał hasła do powrotu. Mimo że tyle jeszcze niepewnego było przed nami — nasze zejście na dół, jutrzejszy atak na dwójkę — odczuwałam ogromną, rozluźniającą wielomiesięczne napięcie radość, że ten szczyt został zdobyty. Nie wątpiłam, albo raczej nie chciałam wątpić w to w kraju, kiedy przedstawiałam cele wyprawy, ale moja pewność wypływała raczej z żarliwej chęci, aby tak się stało, ba, z wiary, którą zarażałam

11 sierpnia godzina 18. Biało-czerwony proporczyk na wierzchołku dziewięcioletniego Gasherbrumu III (7952 m). Od lewej: Alison Chadwick-Onyszkiewicz, Wanda Rutkiewicz i Krzysztof Zdzitowiecki.



Fot. Janusz Onyszkiewicz

wszystkich, że tak się stać musi. Pragnęłam tego sukcesu tylko dla kobiet, ustąpiłam w chwili, kiedy trwanie przy tym pragnieniu mogło przekreślić szanse zdobycia szczytu w ogóle.

Zejście nie było przyjemne, do pozostawionego u stóp kuluaru namiotu dotarliśmy późną nocą. W czasie schodzenia zasypiałam prawie na stojąco, walka ze śniegiem zrobiła swoje i ciało ważyło jakby setki kilogramów. Na ostatniej rampie śnieżnej, podprowadzającej wielkim łukiem pod namiot, schodziłam już jak zepsuty automat. „Chryste, żeby się nie

potknąć” — myślałam. „Jeśli się potknę i obsunę na równię przełęcz, to nie wstanę już, tylko zasnę. Spać, spać, marzę o chwili, kiedy wyciągnę się w śpiworze. Kto to mówił, że na wysokości źle się sypia? No, w końcu.

W namiocie położyliśmy się w czwórkę w poprzek. Janusz, Krzysztof i ja zasnęliśmy prawie natychmiast, tylko Alison się złościła: tak nie można, musimy coś wypić, zejść, trzeba zregenerować siły — wierciła się przy mezażkach, chyba w końcu coś ugotowała, ale nie jestem tego pewna. Zasnęłam.

ANNA OKOPIŃSKA

Gasherbrum II żeńską dwójką

Idziemy już 6 godzin grzędą do obozu III. Wanda i Alison na pewno od dawna pracują powyżej przełęcz, a ta przekłeta grzęda cały czas zasłania nam widok. Nareszcie wyłażę na krawędź. Patrzę na ścianę szczytową Gasherbrumu III. Są! Są już w połowie kuluaru! Trzy punkciki. Dlaczego trzy? Nie, od skałek oderwał się czwarty i ruszył do góry. Czy

coś się stało dziewczynom, że doszli do nich chłopcy?

— Halina — wołam — chodź, zobacz!

Sama prawie biegnę ostatnie trzysta metrów do namiotów obozu III. Wyciągam radiotelefon. Łączę się z bazą.

— Leszku, co się stało?

— O dziewiątej zgłosiła się Wanda spod

kuluaru i powiedziała, że idą całą czwórką do końca.

Zabieram się za porządki, wyciągam założone śpiwory, póki jest słońce, nastawiam śnieg na herbatę, przygotowuję kamerę filmową na przyście Halinki, Krysi i Saeeda. Nieskoordynowane strzępki deklaracji Wandy biegają mi po głowie: „Gasherbrum III musi być zdobyty przez kobiety... w żadnym wypadku chłopcy nie mogą brać udziału w pierwszym ani w drugim ataku... Gasherbrum III tylko dla kobiet...” Powoli wszystko zaczyna mi się układać w logiczną całość. Tydzień temu, schodząc z obozu III, Wanda podała nam plan ostatniego ataku na Gasherbrum III: „... muszą wyjść dwie dziewczyny z zadaniem zaporeczowania uskoku. Zespół ten świadomie zrezygnuje z wejścia na szczyt i w zamian za to będzie mógł zaatakować trabant 7700 m...” Dwa dni później, gdy Wanda była w bazie, nie wytrzymałam i wybuchnęłam:

— Nie rozumiem, jak mogłaś zaproponować nam taką rolę. Przecież odbieranie z góry szans pierwszemu zespołowi jest niepotrzebne i nieuczciwe!

— Właśnie, Aniu, chcę przedstawić plan, w którym jest zespół poręczujący, który wyprowadzi na śnieżną grań i drugi zespół będzie atakował szczyt. I ja będę w zespole poręczującym razem z Alison.

12 sierpnia 1975 godzina 16 — Anna Okopińska na Gasherbrumie II (8033 m). Rekord kobiecego alpinizmu europejskiego. W głębi piramida K2 (8611 m).

Fot. Halina Krüger-Syrokomska



— Dlaczego z Alison?
— Dlatego, że umie się wspinać.
— I co, świadomie zrezygnujesz ze zdobycia szczytu?

— Świadomie zrezygnuję, jeśli nie będę miała sił.

— Nie mówmy o siłach, mówmy o świadomej decyzji. Postaw sprawę w ten sposób, że idziesz i schodzisz jak założysz poręczówki. Tak chcesz postawić sprawę?

— Dobrze, tak.

— Jeżeli ona potrafi zmieniać decyzje każdego dnia, to przed szczytem znowu zmienię decyzję, więc po co wam jej zapewnienia — proroczo zakończył dyskusję Andrzej Zajączkowski.

To było pięć dni temu. Teraz herbata jest już gotowa. Filmuję dojście Halinki do obozu i wlewam do kubka gorący napój.

— No to co wolisz — pytam. — Na G II czy na G III?

— Jasne, że na G II — odpowiada Halinka.

— A jeśli Wanda się nie zgodzi?

— Ja z nią ustaliłam w bazie, że jeżeli one z Alison wejdą od razu na szczyt, to my pójdziemy w czwórce na Gasherbrum II. Tylko dlatego zgodziłam się, żeby Saeed szedł z nami...

— Poczekaj, toś ty wiedziała, że chłopcy mają iść z nimi na szczyt? — wykrzykują zdumiona.

— Coś ty! Nawet pytałam wtedy Wandę, czy dopuszcza taką możliwość. Zapewniła mnie, że absolutnie to wyklucza, niezależnie od okoliczności.

Przez całe popołudnie obserwujemy zespół Wandy. Leszek z bazy streszcza nam prognozę pogody na jutro. Niestety po kilku bezchmurnych dniach zapowiadają załamanie pogody około południa. Kończąc rozmowę, Halinka pyta Leszka:

— Leszku, jeszcze taka tönka sprawa. Czy można zejść Moravcem bez raków? Oczywiście osoba będzie dobrze asekurowana.

— Na trawersie tak. Tam na grani... może. no, nie wiem, jakie są aktualnie warunki. A kto nie ma raków?

Moje raki, które zostawiłam przed miesiącem przymocowane do końca poręczówki, zginęły. Przekopaliśmy kilka metrów kwadratowych śniegu dookoła. Bez rezultatu. Nie wiem co mam robić. Bez raków na ośmiotysięcznik? Zdaję sobie sprawę, że nie powinienam iść, ale...

Tępo wpatrzona pod nogi toruję pomału do góry. Śnieg zapada się po kolana. Dopiero po pół godzinie zatrzymuję się na początku wielkiego trawersu Moravca, łagodnie wyprowadzającego na grań. Jak zwykle do grani wystarczy ręką sięgnąć. Jest połogo i twardo, dalej mogę iść bezmyślnie. Po kilkuset metrach odległość do grani wcale się nie zmniejsza, za to nachylenie tarasu wzrasta. Na zlodowaciałym betonie muszę podrapywać sto-

pnie, mimo że moje buty mają wyjątkowo sztywne podeszwy.

— Załóżcie raki — krzyczę zupełnie niepotrzebnie, gdyż sam mój widok im wystarcza.

Przemykam się po wyciukanych stopieńkach, starając się jak najmniej patrzeć w dół, na dolną krawędź tarasu, obrywającą się lodowym urwiskiem. Niżej stok jest łagodniejszy, z duszą na ramieniu złażę pasem nawiąnego śniegu. Nagle Halina woła do mnie:

— Zaczekaj, Saeed się źle czuje.

Zaskoczona, zostawiam plecak i wracam. Robi się zamieszkanie. Krysia podchodzi kilkadziesiąt metrów od Saeeda do Halinki, Halinka kursuje między nami i prowadzi rozmowę z bazą. Okazuje się, że Saeed nagle poczuł się słabo i chce schodzić na dół. Mimo że jest jeszcze na płaskiej części trawersu, nie może zostać sam, któraś musi z nim zejść do obozu III. Wracają moje rozterki — może to palec boży, może nie powinnam pchać się dalej bez raków, lecz zejść z Saeedem, przecież już tu miałam trudności, a co będzie wyżej, na grani? Halina decyduje, że zejdzie Krysia, która w bazie podjęła się opieki nad naszym oficerem łącznikowym. Krystyna zgadza się bez słów. W połowie stromego zejścia odwraca się:

— Anka, weź moje raki, będą dobre na ciebie.

Podziwiam ją, że w chwili, gdy nagle traci szansę wejścia na szczyt, potrafi się jeszcze troszczyć o mnie. Jest mi głupio.

— Nie, przecież tobie będą potrzebne w zejściu — krzyczę.

— Zejźdź do Saeeda — odpowiada Krysia. — Stamtąd mogę schodzić w butach.

Halinka schodzi do nich i po kilkunastu minutach wraca do mnie z rakami; pasują jak ulał. Ruszamy od razu, jest już po 11, straciłyśmy mnóstwo czasu. Niezauważalnie zmieniła się pogoda, wokół nas kłębią się beżowe chmury, prószy śnieg. Czyżby zapowiadane załamanie? Jest niesamowity upał. Ciepło rozproszone we mgłę osłabia i rozleniwia. Krótki skalny żlebek wyprowadza do wyrobionej przez wiatr rynny. Gdy wchodzimy nią na śnieżne plateau grani — chmury znikają tak nagle, jak się pojawiły. Odsłania się widok na Tybet. Imponujący jest bezkres tej górskiej pustyni — setki jednakowych szaroburych łańcuchów ciągną się aż po horyzont. Ściana Gasherbrumu II jest śnieżna i niezbyt stroma.

— Chyba już niedaleko, chociaż cholera wie, co jest za przełamaniem — niepokoi się Halina.

Przeprowadzamy kolejną eliminację rzeczy niepotrzebnych, gdyż mimo że idziemy „na lekko”, plecaki dają nam strasznie w kość. Zostawiamy „Starta”, spodnie puchowe, zapasowe skarpetki i rękawice. Liny nie ma czym przeciąć, wściekła wrzucam do plecaka całe 40 metrów.

Coraz wolniej posuwamy się śnieżną ścianą po zawianych śladach chłopaków. Do przełamania wydaje się ciągle tak samo da-



Halina Krüger-Syrokomka (z lewej) i Anna Okońska po zejściu ze szczytu Gasherbrum II (8035).
Fot. Ewa Abgarowicz

leko. Ogarnia mnie zniechęcenie. Wprawdzie idzie mi się całkiem dobrze, żadne tam 10 oddechów na 1 krok, jestem tylko okropnie zmęczona i trudno mi zmobilizować się psychicznie do poruszania się w górę, zwłaszcza po chwili odpoczynku. Przed samym przełamaniem robi się chłodno, ale ciekawość nie pozwala mi zatrzymać się przed osiągnięciem grańki. Uderza mnie lodowaty podmuch wiatru. Przełamanie okazuje się śnieżnym koniem, który wyprowadza na znany nam dobrze z opowiadań szczyt. Wrzeszczę do Haliny, która właśnie zakomunikowała mi, że ma już tego dosyć:

— Masz prawo, przekroczyliśmy 8000! Do szczytu jest już tylko jeden wyciąg.

Lodowy koń opada stromo na obie strony. Siedzę na nim okrakiem i trzęsę się z zimna w przejmującym wietrze. Ale boję się ruszyć, aby zdjąć plecak. Dopiero Halinka pomaga mi z dołu. Zakładam kurtkę i wyciągam linę — nareszcie jest potrzebna. Czolgam się lodowym koniem, ani mi się śni dbać o elegancję wspinania w zbijającym z nóg wietrze. Lina kończy się kilkanaście metrów przed platformą szczytową. Halina szybko pokonuje je i ściąga mnie na szczyt. Najpierw wchodzimy na najwyższe skałki. Są tak zwietrzałe, że zadowolamy się dotknięciem najwyższego punktu. Wspaniały widok na pozostałe Gasherbrumy, Broad Peak i K2. Ale wiatr hula tu już bez żadnego umiaru i nie pozwala na jakiegokolwiek fascynację. Kulimy się w dołku pod skałkami i włączamy radiotelefon.

— Halo, baza. Tu Anka i Halina. Czy nas słyszycie? Odbiór.

I wielokrotnie silniejszy od wiatru dobiega nas wrzask radości z bazy: „hurrra!” i przepiękna piosenka zwycięstwa Joan Baez, a dopiero potem urywane Leszkowe:

— Halinko, no tutaj w bazie jest w ogóle szal radości... Jesteśmy naprawdę wszyscy wzruszeni... Cholernie, cholernie gratulujemy...

Polskie lato w Tatrach

Jak po „lecie rekordów” (T. 1/75 s. 25) wygląda następny tatrzański sezon — czy jest o wiele mniej udany i owocny, aniżeli ten poprzedni?

Wartościowych powtórzeń jest dużo, szczególnie na północno-wschodniej ścianie Kazalnicy, gdzie tym razem największą popularnością cieszył się kant filara i sam filar. Na ścianach Galerii Gankowej i w rejonie Młynarzy wielkich dróg, które by nie miały w omawianym sezonie powtórzeń, nie będzie wiele, aczkolwiek około dziesięciu. Gorzej było z innymi pierwszoplanowymi ścianami tatrzańskimi — kompletów powtórzeń trudno tam szukać, mimo że właściwie wspinaliśmy się na wszystkich. Większość powtórzeń robiona była w doskonałym stylu, bezpiecznie i bardzo szybko. Zaledwie 12 godzin zajęło przejście ściany Kazalnicy ostrogą filara i drogą Momatiuka z dolnym i górnym wariantem prostującym, wprost na „siodełko w filarze” (zob. s. 86), co nota bene jeszcze raz potwierdziło tezę o jednodniowości dróg na tej ścianie. Większy kłopot sprawia wciąż direttissima północno-wschodniej ściany Małego Młynarza; latem 1975 r. pokonano ją już w 16 godzin (K. Miodowicz i T. Skryzowski, 17—18 września), ale na przejście jednodniowe przyjdzie jeszcze nieco poczekać.

Przy tak wysokim poziomie tatrzańskich czołówek, jaskrawo widać braki słabszych zespołów. Charakterystyczne, że ich długie wspinaczki nie są zwykle spowodowane gorszą sprawnością techniczną, ale słabszą orientacją w terenie i nieumiejętnością odnalezienia od razu właściwego sposobu pokonania kolejnego skalnego odcinka. Jest rzeczą ogólnie wiadomą, że często „łojone” są skrajne trudności... o metr od właściwej drogi... Dobrze przygotowanie skałkowe może tu nawet przeszkadzać, przyzwyczajają bowiem do innej rzeźby skały, a także utrudniają właściwą ocenę drogi, zacierając subiektywną różnicę między „czwórką plus” a „szóstką minus”.

Pogoda lata 1975 była w zasadzie niezła, choć typowo tatrzańska. Zdarzały się i czerwcowo-lipcowe burze — w zasadzie niegroźne, jeśli kończyły się drogę przed południem. Były też i dłuższe okresy rozpodzeń. Najdłuższym i najładniejszym okresem dobrej pogody obdarzyła nas druga połowa września — niestety, niewielu taterników dotrwało do tego czasu w górach. Można stwierdzić, że także w czasie pełni sezonu koncentracja wspinaczy w Tatrach była mniejsza, niż w latach ubiegłych. Na głównym naszym polu namiotowym, Szalaskach, panował idealny porządek, w czym wielka zasługa prężnego kierownika. Widać było również działalność strażników parku i patroli WOP, a dokład-

ne kontrole obozowiska zdarzały się często.

Podobnie jak w minionych sezonach, czynnych było w Tatrach parę samodzielnych zespołów strażników parku i patroli WOP, a dokładne kontrole obozowiska zdarzały się często.

Podobnie jak w minionych sezonach, czynnych było w Tatrach parę samodzielnych zespołów żeńskich, które przeszły m.in. takie drogi, jak direttissima wschodniej ściany Mniszka (Ewa Grzybowska i Ewa Sosnowska 14 września), droga Fereńskiego na wschodniej ścianie Mnicha (Ewa Grzybowska i Dobrosława Miodowicz 19 lipca) czy „szare zacięcie” na ścianie Raptawickiej Turni (Irena Kęsa z Barbarą Olesiewicz ok. 15 września). Liczniej niż poprzednio pojawili się w Tatrach wspinacze samotni.

Połowa nowych dróg z okazałego przecięż spisu, została poprowadzona w Tatrach Polskich. Dziw bierze, że jest to jeszcze możliwe w tym tak bardzo wyeksplorowanym rejonie. Reszta powstała na najbliższej Słowacji; niestety dalej niż po rejon Galerii Gankowej tym razem po pierwsze przejścia sięgnąć nie umieliśmy. Ważne, że oprócz rozwiązań szczytkowych, wykaz zawiera też kilka dróg o znacznej wartości. Przy większości z nich zastosowano technikę hakową, lecz nie to decyduje o ich charakterze i trudnościach (wyjątek stanowią niektóre drogi z Tatr Zachodnich). Obserwowane ostatnio podniesienie się poziomu wspinaczki klasycznej dało niewątpliwie efekty i na nowych drogach. Jestem pełen nadziei, że najtrudniejsze z nich — na północno-wschodniej ścianie Małego Młynarza, na wschodniej ścianie Młynarczyka i na zachodniej ścianie Cubrynki — będą tego dowodem.

W sumie, mimo rzeczywiście rekordowej liczby wyjazdów i wypraw zagranicznych naszej czołówki, znów podsumowujemy lato tatrzańskie jako niezwykle udane, chociaż bez wątplenia bardziej spokojne niż poprzednie. A przy tym praktycznie biorąc wolne od poważniejszych wypadków — i to jest chyba najważniejsze.

NOWE DROGI I WARIANTY

Mnich Raptawicki — pd. ścianą: J. W. Naroźniak i J. Wolf 13 i 15 VI 1975 (VI H2, 10 godzin).

Raptawicka Grań — pd. ścianą: Z. Dudrak i J. Mączka 18 V (VI H1, 5 godzin).

Raptawicka Turnia — prawym filarem pd.-wsch. ściany: J. W. Naroźniak i J. Wolf 11 VI (V, H3, 12 godzin).

Zamarta Turnia — płytami środkowej części pd. ściany: W. Bober, A. Machnik i R. Plich 1 VII V+ H0, 7 godzin. Też część ściany — do trawersu — przechodzono już wcześniej, np. P. Jasiński i A. Uznański młodszy w 1969 r.

Kozie Czuby — zach. ścianą: J. Hobrzański, M. Koras i W. Krajewski 10 VII (V, 4 godziny).



To co, że ryzykownie? Ale za to nikt tego wariantu nie będzie mógł powtórzyć!

Rys. Witold Sas-Nowosielski

Kozi Wierch — środkową częścią pn.-zach. ściany turni w pn.-wsch. grani: J. Kulczyński i W. Hubert 29 VIII (V+, 3½ godziny, droga częściowo identyczna z wcześniejszą — zob. T. 1/76 s. 34).

Szpiglasowy Wierch — lewą częścią pd. ściany przez płytę: A. Czok i A. Machnik 22 VIII (V+, 3 godziny).

Mniszek — lewym filarem wsch. ściany: Jadwiga Łozińska i K. Łoziński 8 i 9 VIII (VI H1 2n, 5 godzin).

Cubrynka — środkiem pn.-zach. ściany: P. Czok i J. Wolf 22 IX (VI H0, 4 godziny). Opis s. 85.

Zadnia Piarżysta Przełęcz — pn.-zach. ściana: S. Handl, A. Sadowski i R. Tułiszka 13 VII (VI H0, 5 godzin).

Mały Koprowy Wierch — środkową częścią pn. ściany: A. Baluch, J. Baranek, A. Czok i P. Czok 27 IX (V+, 7 godzin).

Wyżni Pośredni Wierszyk — środkiem pn.-wsch. ściany: W. Krajewski i A. Machnik 18 IX (III+, 5 godzin). Droga częściowo zbieżna z drogą H. Zakrzewskiego z 1973 roku (zob. s. 85).

Mięgusowiecka Turniczka — pd. filarem: A. Smółski i J. Wolf 31 VI (V, 2½ godziny, T. 3/75 s. 131).

Wielka Wołowa Szczerbina — pn.-wsch. zębrem: G. Chwoła i P. Czok 14 VIII (V, H0, 3 godziny).

Wołowa Turnia — środkiem lewego filara pd. ściany: Dobrosława Miodowicz i J. Wolf 7 IX (V, H2, 3 godzin, T. 1/76 s. 35).

Wołowa Turnia — lewą częścią pd.-zach. zębra: W. Bober i A. Machnik 21 VIII (IV, 4 1/2 godziny).

Zabia Turnia Mięgusowiecka — lewą częścią pn. ściany: J. Baranek i A. Czok 23 VIII (V H1, 8 godzin, T. 1/76 s. 35).

Młynarzowe Widła — środkiem pd. ściany: J. Hobrzański, M. Nanowski i M. Wroczyński 10 VIII (V, 3 godziny).

Młynarzowa Kopa Niżnia — filarem pd. wierzchołka: A. Klonowski, J. Kowal i A. Samolewicz 18 VIII (V+ H2, 12 godzin).

Młynarczyk — wsch. ścianą pomiędzy drogami Kowalewskiego i Nyki: A. Klonowski, J. Kowal i A. Samolewicz 7 VII i 28 VIII (VI H2, 10 godzin).

Młynarczyk — lewą częścią wsch. ściany: K. Pankiewicz i J. Wolf 28—29 IX (VI H3, 10 godzin, T. 4/75 s. 178).

Mały Młynarz — środkiem pn.-wsch. ściany: Elżbieta Książczyk, M. Piekutowski i J. Skorek 10—11 VII (VI H1, 10 godzin, T. 4/75 s. 178).

Zabi Mnich — zach. ścianą, na prawo od drogi Wilczkowskiego: P. Czok i A. Machnik 17 VIII (V+ 4 godziny).

Galeria Gankowa — lewą częścią pn.-zach. ściany: S. Głazek i A. Smółski 12 i 14 IX (V H2, 7 godzin, T. 1/76 s. 35).

Skraina Pusta Turnia — lewym zacięciem pn.-zach. ściany: M. Jaczewski i W. Tadeusiak 19 VII 1971 (VI-, 2 godziny).

PIERWSZE PRZEJŚCIA POLSKIE

Skraina Liptowska Turnia — wsch. ścianą „przez płyty”: A. Machnik i J. Tkocz 28 VIII 1975.

Kopa Lodowa — pd. ścianą, żłebem Leporowskiego: P. Bednarczyk i J. Tkocz 6 VII, (trudności hakowe drogi zredukowano do H0).

Lodowy Szczyt — wsch. ścianą, drogą Tatarki: P. Czok i A. Machnik 4 VIII.

Niżnia Barania Strażnica — pn. ścianą, prawym i środkowym filarem: T. Preyzner 22 VIII.

Łomnica — wsch. ścianą, drogą Galfyego: M. Grochowski, M. Piątkowski i W. Rogoziński 26 VI.

Łomnica — zach. ścianą „pęknięciem w płycie”: Elżbieta Książczyk, M. Koras, M. Piekutowski i J. Skorek 18 VII.

Łomnica — zach. ścianą „przez płytę”: R. Plich i J. Tkocz 15 IX.

Kieżmarski Szczyt — pd. ścianą, płytami lewego filara: J. Bierezin i P. Pietrzak 11 IX.

Mały Kółowy Szczyt — pd. ścianą, drogą Bellicy: T. Preyzner i J. Wnukowski 15 VII.

Jastrzębia Turnia — pd.-wsch. ścianą, drogą Bellicy: T. Preyzner i L. Skarzyński 11 IX. (Zapewne II przejście w ogóle.)

Jagnięcy Szczyt — pd. ścianą, lewym filarem: J. Dofek i T. Preyzner 2 IX. (Zapewne II przejście w ogóle.)

PRZEJŚCIA GRANI TATR

Od Przełęczy Zdziarskiej do Huciańskiej: K. Zurek 21-23 VI 1975 (T. 3/75 s. 132 i T. 1/76 s. 47).

Od Przełęczy Zdziarskiej do Huciańskiej: W. Cywiński 15—18 VII 1975 (T. 3/75 s. 132 i T. 1/76 s. 47).

Polska — Wielka Brytania

W jesieni 1974 r. PZA otrzymał od British Mountaineering Council — brytyjskiej federacji, zrzeszającej ok. 200 angielskich i walijskich klubów alpinistycznych — zaproszenie na przyjazd do Wielkiej Brytanii grupy polskich alpinistów. Celem wizyty miało być zapoznanie się z metodami szkolenia i treningu wspinaczy brytyjskich, wspólne wspinaczki, wymiana doświadczeń organizacyjnych oraz ożywienie wzajemnych kontaktów. Trzeba też podkreślić duże zainteresowanie Brytyjczyków ostatnimi polskimi osiągnięciami w górach najwyższych.

Zaproszenie zostało przyjęte i w dniach od 24 września do 4 października 1975 r. przebywała w Anglii i Walii 8-osobowa delegacja PZA w składzie: Zdzisław Jakubowski, Piotr Jasiński, Marek Kowalczyk, Zdzisław Kozłowski (kierownik), Andrzej Kuś, Kacper Mikłaszewski, Kazimierz J. Rusiecki i Andrzej Zawada. Na dworcu w Londynie zostaliśmy powitani przez sekretarza BMC, Dennisa Graya oraz redaktora miesięcznika „The Mountain Magazine”, Kena Wilsona. Tego samego wieczoru przewieziono nas mikrobusem do ośrodka szkoleniowego White Hall Centre w rejonie parku narodowego Peak District, którego skałki stanowią główny teren treningowy wspinaczy z Manchesteru i okolic.

Outdoor education

Podczas dwudniowego pobytu w tym rejonie pokazano nam kilka grup skałek, różniących się tak pod względem rodzaju skały, jak i ukształtowania terenu. Przeważa tu typowy dla całego hrabstwa Derbyshire *gritstone* — rodzaj piaskowca, spotkać można jednak również skałki wapienne. Co do konfiguracji terenu, to widzieliśmy tam zarówno skały wolnostojące, jak i formacje typu „dolinkowego”. Wysokość ścian dochodzi do kilkudziesięciu metrów. Wspinacze angielscy asekurują się tu wyłącznie za pomocą kostek i pętli. Bicie haków jest nie do pomyślenia, podobnie jak stosowanie asekuracji od góry.

Wspinaczka skałkowa jest w Wielkiej Brytanii sportem bardzo popularnym — według naszych rozmówców uprawia ją czynnie ok. 30 000 osób na ok. 200 000 zrzeszonych w klubach wspinaczkowych. Ta popularność wspinaczki wynika, moim zdaniem, nie tylko z wielkich tradycji brytyjskiego alpinizmu ale przede wszystkim z założeń systemu wychowania fizycznego i nauczania w szkołach. Na terenie całej Wielkiej Brytanii istnieje sieć ośrodków wyspecjalizowanych w tzw. *outdoor education*, czyli w nauczaniu działalności sportowo-rekreacyjnej na wolnym powietrzu.

Szkolenie takie przechodzą obowiązkowo uczniowie wszystkich szkół, ale turnusy organizują także różne instytucje dla swoich pracowników. Obejmuje ono, poczynając od marszów na azytmut, również takie dyscypliny, jak żeglarstwo, kajakerstwo sportowe i wspinaczkę. W ten sposób prawie każdy młody Brytyjczyk styka się przynajmniej raz w życiu czynnie ze wspinaczką. Wielu z nich uprawia ją już potem stale.

Z Peak District zostaliśmy przewiezieni do głównego ośrodka szkolenia górskiego — National Mountaineering Centre w Plasys Brenin w północnej Walii. Mimo nazwy, szkoła ta prowadzi nie tylko szkolenie górskie lecz również kursy *outdoor education*, jednak ze względu na jej położenie w pobliżu stosunkowo dużych gór (grupa Snowdon 1085 m) problematyka wspinaczkowa wyraźnie tu dominuje. Szkoła jest urządzona i wyposażona na wysokim poziomie, ma nawet sztuczny stok narciarski.

Podczas 6-dniowego pobytu w tym ośrodku odbyliśmy szereg wspinaczek, przeważnie wspólnie z alpinistami brytyjskimi, zarówno w Snowdonii jak i w skałkach nadmorskich. Sama grupa Snowdon nie przedstawia się pod względem wspinaczkowym zbyt atrakcyjnie, chociaż przewyższenia sięgają tu kilkuset metrów. Na Snowdon wchodzi stara kolejka żębata. Ponoć tu właśnie narodziła się rozpropagowana przez Anglików idea stosowania do asekuracji kostek metalowych. Początkowo asekurowano się klinując węzły, aż wreszcie ktoś wpadł na pomysł wiązania do pętli nakrętek służących do łączenia szyn, które po remontach torów wałowały się wzdłuż trasy kolejki na Snowdon. Kiedy ich zabrakło, za-

Obserwujemy wspinaczkę na skałkach. Stoją od lewej: Andrzej Zawada, zdobywca Nuptse Dennis Davies (zob. T. 3 74 s. 141) i Zdzisław Kozłowski.

Fot. Andrzej Kuś





Peter Boardman (z lewej) i John Porter (pracownik „Mountain Magazine”) — po parogodzinnej wizycie w redakcji „Tatarnika”. Z prawej — Andrzej Kuś.

częto — choć to już może anegdota — rozkręcać szyny, zagrażając bezpieczeństwu pasażerów, co stało się hasłem do podjęcia produkcji kostek asekuracyjnych, których asortyment obecnie idzie już w setki (T. 1-75, s. 46). Z ciekawostek należałoby jeszcze wspomnieć, że podczas jednego z wypadów w skałki nadmorskie przejeżdżaliśmy przez miejscowość walijską o najdłuższej w Europie nazwie. Oto ona: Lllanfairpwllgwyngylllogerychwyrndrobwllllantysiliogogoch.

W trakcie pobytu w ośrodku w Plas y Brenin, Andrzej Zawada wygłosił żywo przyjęty odczyt o zdobyciu Kunyang Chhisha, pokazał też wystawę zdjęć z wyprawy na Lhotse. Andrzej Kuś natomiast opowiedział o Tatrach i wyświetlił serię przezroczy z Tatr. W drodze powrotnej do kraju w Instytucie Kultury Polskiej w Londynie odbyło się w ramach Klubu Olimpijczyka spotkanie naszej grupy z londyńską Polonią, na którym Andrzej Zawada wygłosił raz jeszcze odczyt o wyprawie na Kunyang Chhish.

Podczas całego pobytu spotkaliśmy się z bardzo życzliwym przyjęciem zarówno ze strony kierownictwa BMC i ośrodków, które odwiedziliśmy, jak i ze strony towarzyszących nam alpinistów brytyjskich. Upoważnieni przez PZA, przekazaliśmy na ręce Dennisa Graya zaproszenie do Polski dla grupy alpinistów brytyjskich. Prosiłmy jednocześnie o rozważenie możliwości przyjazdu na zaproszenie PZA któregoś z uczestników zwycięskiej wyprawy na ścianę Mount Everestu w r. 1975.

Anglicy u nas

Zaproszenia te zostały przyjęte i na przełomie lutego i marca 1976 przybyli do Polski Peter Boardman, jeden z członków wyprawy Boningtona i uczestnik wejścia szczytowego (T. 4-75 s. 177) oraz 4 alpinisci brytyjscy: Adrian Burgess, Alan Burgess, Michael Ged-

des i John Porter. Bawili oni w naszym kraju bez mała miesiąc.

Zgodnie z naszą sugestią, głównym celem przyjazdu był gościnny udział Anglików w odbywającym się od 29 lutego do 14 marca przy Morskim Oku obozie tatarnickim krajów socjalistycznych, a także zapoznanie się z zimową wspinaczką w Tatrach. Przed rozpoczęciem obozu nasi goście zwiedzili Warszawę i Kraków, gdzie wspinali się w skałkach. Podczas pobytu na Hali Gąsienicowej Adrian Burgess, Alan Burgess i John Porter dwukrotnie atakowali komin Drege'a na Granatach, a później przeszli północny filar Swinicy. W czasie zgrupowania w schronisku nad Morskim Okiem Anglicy razem z Boardmanem przeszli grań od Przełęczki pod Żabią Czubą do Rysów, skąd wycofali się wskutek zmiany pogody. Po kilku dniach przerwy trójka P. Boardman, A. Burgess i J. Porter pokonała dalszy odcinek grani — od Rysów do Hińczowej Przełęczy — z biwakiem na Mięgoszowieckim Szczytzie Czarnym, zaś dwójka A. Burgess i M. Geddes przeszła w jeden dzień i w bardzo ładnym stylu direttissime północnej ściany Mięgoszowieckiego Szczytu.

Peter Boardman, 24-letni nauczyciel języka angielskiego, bawił w naszym kraju od 27 lutego do 21 marca 1976 r. Wygłosił on szereg prelekcji o wyprawie na Mount Everest i o przejściu ściany (T. 4 75 s. 177). Prelekcje zostały wygłoszone: w klubie „Riviera” w Warszawie (z inicjatywy KW Warszawa), w Zakopanem dla uczestników narady przedstawicieli federacji alpinistycznych krajów socjalistycznych, w schronisku przy Morskim Oku dla uczestników obozu KDL, w Krakowie i w Łodzi (staraniem miejscowych KW), wreszcie ponownie w Warszawie — w British Council, w Ambasadzie Brytyjskiej i w SKT PTTK. Pogadanki swe Boardman ilustrował artystycznymi przezrociami, a słuchaczy ujmował urokiem osobistym, prostotą bycia i rzadko spotykaną skromnością w obrazowaniu własnych zasług.

Przyjazd zdobywcy Everestu do Polski wywołał duże zainteresowanie ze strony prasy i radia. Wywiady z nim ukazały się m. in. w „Expresie Wieczornym” i w „Literaturze” (która zamieściła też jego piękny artykuł o Evereście). Polskie Radio nadało rozmowę z nim i Prezesem PZA. Z imprez oficjalnych z tej okazji przede wszystkim wymienić należy uroczystą kolację wydaną przez Ambasadora brytyjskiego, w której wzięli udział przedstawiciele GKFFiT, PZA oraz wszyscy alpinisci brytyjscy, przebywający w tym czasie w Warszawie.

Podczas swego pobytu w Tatrach Peter Boardman zwiedził Centralny Ośrodek Szkoleniowy na Hali Gąsienicowej i uczestniczył w prowadzonych na kursie ćwiczeniach lawinowych, zaś podczas pobytu nad Morskim Okiem (od 7 do 14 marca) odbył wspinaczkę graniową, wspomnianą już wyżej.

Pobyt Petera Boardmana — kierownika sekretariatu British Mountaineering Council —

stał się też okazją do przeprowadzenia szeregu rozmów z przedstawicielami PZA co do dalszych kontaktów między obydwoma organizacjami. Ustalono, że BMC zwróci się do zrzeszonych w nim klubów z sugestią nawiązania poprzez PZA porozumień z klubami zrzeszonymi w PZA, celem zrealizowania bezde wizowych wyjazdów wymiennych, przy czym wspinaczy brytyjskich interesuje przede wszystkim tatrzańska zima. Ponadto ustalono, że obie organizacje będą dążyły do zorganizowania w r. 1977 wspólnej wyprawy sportowej w Hindukusz.

Dodajmy na koniec, że nasi goście brytyjscy bardzo wysoko ocenili krajobrazową i wspinaczkową atrakcyjność Tatr, zwłaszcza w szacie zimowej, stwierdzali też wielokrotnie, że w tych ich walorach widzą jedną z podstaw polskich osiągnięć w górach świata. Należy żywić nadzieję, że wizyta przyczyni się do nowego ożywienia polsko-brytyjskich kontaktów alpinistycznych — z pożytkiem dla obydwu stron.

WACŁAW SONELSKI

Gorące lato... owocne lato...

Uważna analiza publikowanych na łamach „Taternika” podsumowań dorobku polskiego alpinizmu, jak również luźnych wypowiedzi wspinaczy głębiej zaangażowanych w problemy swego środowiska, pozwala stwierdzić dwie charakterystyczne prawidłowości: 1) sezony i lata rekordowe pod względem osiągnięć sportowych pojawiają się mniej lub bardziej periodycznie z podziwu godną systematycznością; 2) równie periodycznie (choć nie zawsze w wyraźnej formie) odżywa stary już dylemat polskiego alpinizmu, zawarty w pytaniu: „przyszłość taternictwa leży w Tatrach, czy też poza Tatrami?”

Wbrew pozorom, zbieżność ta nie jest przypadkowa, bowiem obie sprawy mają ze sobą dość ścisły związek. Lekceważenie go bądź interpretacja z niewłaściwych punktów widzenia prowadzi w naszym środowisku do wielu nieporozumień i zdrażeń.

Przy analizie chociażby ostatniego, bardzo ogólnego podsumowania lata 1975 (T. 3/75 s. 97) natychmiast widać, że Tatry — nawet od strony działalności wycynkowej — zeszyły wyraźnie na plan drugi wobec gór wyższych — lodowcowych czy egzotycznych. Nie jest to spostrzeżenie nowe, od dawna już coraz powszechniej utrwała się przekonanie, że Tatry przyjmują stopniowo rolę terenu szkoleniowo-treningowego. Co za tym idzie, ich ran-

ga i znaczenie dla tych, którzy oceniają dorobek polskiego alpinizmu całościowo i według reguł przyjętych ogólnie dla sportów wyczynowych, gwałtownie maleje. Takie podejście do sprawy mobilizuje zwykle opinie broniące interesów licznej rzeszy tych wspinaczy, którzy prawdopodobnie poza Tatry nigdy nie wyjdą, a którzy ostatecznie stanowią w naszej społeczności większość.

Nie wnikając głębiej w racje obu stron, chciałbym spojrzeć na ten problem od innej strony.

To, że kolejne górskie lata są coraz bogatsze w sukcesy, osiągnięcia i rekordy, jest ustaloną już prawidłowością, procesem (miejmy nadzieję!) ciągłym i trwałym. Ponieważ opiera się on na działalności w górach co najmniej typu alpejskiego, bazą ilościowego i jakościowego postępu jest po prostu fakt, że coraz więcej ludzi chce i może działać poza Tatrami. Z istniejącą obiektywnie linią rozwojową trzeba się nie tylko pogodzić, ale i dostosować do niej organizacyjnie oraz „ideologicznie”. W związku z tym widzę między innymi konieczność odrzucenia, mitycznych już niemal, podziałów środowiska na (przyjmuję tu znaczenie symboliczne) — „Taterników”, czyli tych, którzy swe plany i ambicje wspinaczkowe realizują tylko w Tatrach, oraz „Alpinistów”, dla których z takich czy

innych względów wszystkie góry stoją otworem.

Alpy czy też inne wyższe góry, to już dziś nie marzenie urzeczywistniane wyłącznie drogą wieloletniego żmudnego tworzenia własnej sylwetki „wyczynowca” przez nieliczne jednostki, ale wybór coraz częściej niemal równorzędny dla wielu taterników, turystów górskich, speleologów etc. — o bardzo zróżnicowanym poziomie doświadczenia, wykształcenia i, niestety, również... rozsądku. Oczywiście istnieje tworząca się w sposób naturalny gradacja możliwości i umiejętności alpinistów, co pociąga za sobą utrzymywanie się „piramidalnej” struktury środowiska, ale fakt przynależności do szczytowej części owej piramidy nie jest już od dawna jedynym, działającym mechanicznie wyróżnikiem, który umożliwia działalność poza Tatrami.

Tymczasem wręcz przeciwnie przekonania są wciąż jeszcze bardzo żywe i często spotykane. Dopóki wynikają z nich jedynie postulaty czy pretensje kierowane pod różnymi adresami — ich rola może być nawet pozytywna. Gorzej, gdy przyczyniają się do powstawania zbiorowej psychozy, zwłaszcza wśród najmłodszych, niecierpliwych i ambitnych wspinaczy. Obawiam się, że nie doceniamy jej znaczenia jako źródła szeregu negatywnych zjawisk, które dziś w Tatrach występują, a których nie można lekceważyć. Zaliczyłbym do nich np. powszechne przyjmowanie stopera, jako głównego a nawet jedynego miernika stylu wspinania, powtarzające się coraz częściej przypadki odbywania wspinaczek samotnych — będące desperackim czasem środkiem zaimponowania „konkurencji”, czy też pojawienie się przedziwnej ambicji pokonywania ścian możliwie najmniejszą liczbą wyciągów! O sztucznie podtrzymywanym kulcie otwierania za wszelką cenę nowych „własnych” dróg (co zresztą w dzisiejszych warunkach jest dążeniem zdegenerowanym) nawet nie warto wspominać.

Trzeba to wyraźnie stwierdzić, że Tatry jako pole letniej działalności wyczynowej już prawie nie istnieją. Jednocześnie ta wymuszona szybkim rozwojem taternictwa sytuacja jest paradoksalnym objawem zrównywania w hierarchii trudności Tatr z górami typu alpejskiego. Osobiście uważam, że taternik dzisiejszy, wspinający się w Tatrach średnio dobrze latem i zimą, po krótkim, aklimatyzacyjnym niemal przeszkoleniu, bez problemów da sobie radę z trójkową, czy nawet czwórkową drogą w Alpach lub Kaukazie. A już do wejścia na Elbrus, czy też Mont Blanc „drogą normalną”, na pewno nie można wymagać od kandydata pięciu lat treningu w Tatrach, zakończonego ścianą Kazalnicy. Można natomiast i trzeba żądać dużej samodzielności, ogólnego doświadczenia górskiego, odpowiedzialnego i bezpiecznego stylu wspinania, wreszcie sporej wiedzy z zakresu taktyki przedsięwzięć górskich. Sprawa ta wymaga z pewnością odrębnego potraktowania,



Zaczekaj! Wbiję jeszcze trzecią jędynkę i już cię ściagam!

Rys. Witold Sas-Nowosielski

jako poważny problem szkoleniowo-organizacyjny.

Z powyższych rozważań mogłoby wynikać, że opowiadał się po prostu po stronie „Alpinistów”, a przeciw Tatrom i „Taternikom”. Chciałbym wyraźnie podkreślić: takie stanowisko traci sens, to anachronizm. Taternictwo i alpinizm stanowią dziś bardziej niż kiedykolwiek w przeszłości dwie nierozwalnie związane strony tego samego zagadnienia. Może dawniej nie było to widoczne tak jasnkrawo, a raczej obowiązywała pewna kolejność: najpierw trzeba zostać taternikiem „doskonałym”, poznać wszystko co własne góry dać mogą, a dopiero później jechać w Alpy, Andy czy Himalaje. Ograniczało to z jednej strony rolę Tatr do tworzenia pierwszego szczebla kariery alpinisty-wyczynowca, z drugiej zaś osłabiało wzajemny związek i oddziaływanie alpinizmu na rodzime taternictwo. Dziś sytuacja o tyle się zmieniła, że to właśnie średni, w szerokim ujęciu przeciętny poziom i możliwości taternictwa wyznaczają i limitują działalność pozatatrzańską. Jednocześnie widać wyraźne oddziaływanie zwrotne — i to nie tylko w formie przyswajania w Tatrach ostatnich alpejskich nowinek techniczno-sprzętowych.

Idąc za przykładem teoretyków piłki nożnej, tenisa czy boksu zaryzykuję twierdzenie

o pojawieniu się w ostatnich latach czegoś na kształt „totalnego taternictwa”. Mam tu na myśli powszechne występowanie takich zjawisk, jak szrokie stosowanie na terenie taternictwa ogólnych reguł rządzących treningiem w sporcie wyczynowym, wyraźne podwyższenie kryteriów przeciętności taternika, istotne zmiany stylu pokonywania ścian tatrzańskich, zwłaszcza zimą. Również fakt, że ostatnio wspinaczki w masywach Młynarczy czy Ganku zaczęliśmy niepostrzeżenie traktować jako działalność w rejonie Morskiego Oka, jest tu bardzo charakterystyczny.

Wiąże się to z jednej strony z naturalnym rozwojem taternictwa, a z drugiej jest wynikiem prowadzenia równoległej z tatrzańską działalności w górach lodowcowych przez coraz to liczniejszą grupę taterników. Roli tego czynnika nie można nie doceniać! Od dawna uważa się, że Tatry zimą to świetna szkoła przedalpejska. Sądzę, że obecnie należałoby to stwierdzenie jeszcze bardziej przewartościować. Wspinanie alpejskie latem narzuca inne wymagania, niż tatrzańskie, co nie oznacza, że są one dużo ostrzejsze czy wyższe. Gdyby np. wziąć pod uwagę najbardziej popularny wśród Polaków w roku 1975 rejon alpejski — Mont Blanc, to począwszy od atmosfery w bazie, która chwilami przypominała do złudzenia zatłoczone tatrzańskie „taborko”, poprzez komfortowe niemal warunki wspinania (na co składały się różne miejscowe czynniki) dojdziemy w efekcie do przekonania, że dewaluacja wielu tamtejszych, poważnych do niedawna przejść nakazuje jednocześnie dużo wyżej oceniać sporo osiągnięć tatrzańskich, i to zwłaszcza zimowych.

Z kolei, dzięki zapewnieniu w Alpach wspomnianego wyżej komfortu wspinania, wysuwają się tu zdecydowanie na plan pierwszy zagadnienia taktyki i strategii działania, bezpieczeństwa wspinaczki, orientacji w terenie, odwrotów i powrotów — czyli te czynniki, którym często w Tatrach poświęcamy zbyt mało uwagi, stawiając na czele wymagań (zwłaszcza latem) technikę skalną, siłę czy sprawność. Wynika stąd natychmiast — jasne zresztą, choć czasem niedoceniane — stwierdzenie, że właśnie doświadczenie zdobyte w górach lodowcowych pozwala wydatnie zwiększyć margines bezpieczeństwa wspinaczki w Tatrach, szczególnie zimą.

Jak się wydaje, wkroczyliśmy aktualnie w epokę masowego, w stosunku do naszych możliwości i warunków, taternictwa. W przy-



PIĘKNY JUBILEUSZ

Sto lat temu — w r. 1876 — ukazał się pierwszy tom „Pamiętnika Towarzystwa Tatrzańskiego”, którego kontynuacją od r. 1923 są „Wierchy”. 33 tomów „Pamiętnika” (1876—1920) i 43 tomów „Wierchów” (1923—1974) zawierają trzon naszej wiedzy o górach Polski, a szczególnie o Tatrach.

szości możemy i wręcz musimy wspinąć się coraz więcej, lepiej i dalej poza Tatrami. Naszym najpilniejszym zadaniem powinno być osiągnięcie etapu szeroko uprawianego alpinizmu. Jedynie dalszy jak najszybszy postęp ilościowy i jakościowy w tej dziedzinie zapewnić nam może zarówno ochronę Tatr i taternictwa przed „uduszeniem się”, jak i liczący się udział w kolejnej złotej epoce alpinizmu — tym razem himalajskiego.

Komisja Ochrony Przyrody PZA organizuje w dniu 22 sierpnia 1976 r. w ramach akcji „Czyste góry” sprzątnięcie masywu Rysów. Apelujemy gorąco do wszystkich taterników przebywających w tym czasie w rejonie Morskiego Oka o udział w tej akcji.

Przewodniczący Komisji
WŁADYSŁAW CYWIŃSKI

Sukces na Dru

W dniu 12 lutego 1976 r. wyjechał w rejon Mont Blanc zespół PZA w składzie Piotr Malinowski, Marian Piekutowski, Zbigniew Wach (kierownik) i Jan Wolf. Celem wyjazdu było pierwsze przejście zimowe direttissimi 1000-metrowej zachodniej ściany Petit Dru. Słynną tę drogę poprowadzili w dniach 10—13 sierpnia 1965 r. Amerykanie John Harlin i Royal Robbins, oceniając trudności na VI i A3—A4. Zyskała ona miano najtrudniejszej drogi Alp — do r. 1975 włącznie miała zaledwie jedno powtórzenie (Niemcy Geisenberger i Eisenacher w r. 1972). W zimie próbowało ją atakować kilka renomowanych zespołów, wśród nich w roku zeszłym także zespół polski (Piotr Czok, Ryszard Kowalewski, Krzysztof Pankiewicz i Jan Wolf).

Do Chamonix przybyliśmy po kilkudniowych gwałtownych opadach śniegu — pierwszych tej zimy, ale za to bardzo obfitych (w ciągu jednej nocy pokrywa śnieżna przyrosła o 2 m!). Liczyliśmy na to, że warunki ulegną szybko poprawie i planowaliśmy wejście w ścianę 17 lub 18 lutego — z całym sprzętem i żywnością, bez uprzedniego poręczowania. Dwa małe namioty postanowiliśmy rozbić najpierw w „kociołku” ok. 150 m od podstawy ściany, następnie zaś na tarasach 300 m wyżej. W całej ścianie są to jedyne miejsca pozwalające na wygodniejszy biwak. Przyjęta taktyka przewidywała wspinanie się w 2 zespołach na zmianę ze zjeżdżaniem na noc do namiotów, co gwarantowało pełną regenerację sił i dawało możliwość wytrzymania akcji górskiej trwającej 15—20 dni.

18 lutego dotarliśmy pod ścianę zmęczeni długim podejściem z ciężkimi plecakami z Grands Montets. Przez szczelinę brzezną i lo-

dowy próg dostaliśmy się do kuluaru, a nim do „kociołka”, gdzie Piekutowski i Wach zanoowali, zaś dwaj pozostali zjechali pod ścianę, by następnego dnia przetransportować ze stacji kolejki resztę bagażu. Wach i Piekutowski przeszli tymczasem (19 lutego) 3 wyciągi w skale i śniegu a 20 lutego kolejne 4 wyciągi o trudnościach V, A1 — A2. W ścianie spotkaliśmy ślady odwrotu trójki Afanassieff, Desmaison i Flematti, którzy 2 tygodnie przed nami usiłowali przejść direttissime. Po wspólnym noclegu obu dwojek w „kociołku”, w dniu 21 lutego przeszliśmy 4 wyciągi o trudnościach V+ A2 i dotarliśmy na odległość ok. 80 m od tarasów. Przebyty dotychczas odcinek można by porównać z direttissimą Kazalnicy — przy bardzo dużym zaśmieceniu i zalodzeniu. Tempo było wolne, a to z powodu braków w formie i fatalnych warunków. 22 lutego zamierzaliśmy przenieść obóz na tarasy, jednakże w nocy załamała się pogoda, a ze ściany zaczęły schodzić lawiny pyłowe o ogromnej sile. Próby dalszego wspinania nie powiodły się, śnieg załamał namioty, przemokły ubrania i śpiwory. W tej sytuacji trzeba się było zdecydować na odwrót.

Pogoda stopniowo poprawiła się i 25 lutego byliśmy z powrotem pod ścianą, tym razem już o godzinie 11. Wykorzystując zwisające liny ruszyliśmy do góry i po przejściu 2 wyciągów (V, A1) o godzinie 17.30 osiągnęliśmy tarasy. Transport plecaków, wykopanie platform i rozbięcie namiotów przeciągnęły się do godziny 1. Mimo wielkiego zmęczenia, Malinowski i Wolf wstali o godzinie 6 i zaczęli wspinaczkę. Przed nami było 600 m głównych trudności. Teren skalny wyglądał niezwykle groźnie: duża liczba okapów — splekanych lub odstrzelonych od ściany, poprzedzielanych gładkimi płytami; wielkie turnie i bloki poprzyklejane do calizny i trzymające się nie wiadomo czym. Około 120 m nad nami wyodrębnił się pierwszy pas okapów — system zacięć i ścianek o przewieszeniu sięgającym 15—20 m. Około 180 m wyżej następny pas — 2 dachy po 15 m wysięgu każdy, przedzielone 40-metrową przewieszoną i niezwykle kruchą ścianą. Tego dnia Malinowski i Wolf pokonali 3 wyciągi (V—VI, A2), zaś 27 lutego Piekutowski i Wach dalsze 2 (A3, A1, krucho), osiągając podstawę pierwszego okapu. 28 lutego okap ten sforsowali Malinowski i Wolf (A4, krucho!), następnie zaś przeszli część niezwykle trudnego i kruchego odcinka (VI, A4), po drodze badając możliwości biwakowania na odstrzelonym bloku. 29 lutego zaczęty wyciąg dokończyli Piekutowski i Wach, którzy następnie 60-metrowym kruchym zacięciem osiągnęli podstawę drugiego dachu (VI, A4, krucho). Przeszli go (A4) następnego dnia Ma-

Royal Robbins — amerykański mistrz big wall climbing, także autor książek i podręczników (np. „Advanced Rockcraft”). Na zachodniej ścianie Dru wytyczył on dwie wybitne drogi. Zdjęcie z „Ascent” 2/1974.





Od lewej: Piotr Mallnowski, Zbigniew Wach, Marian Piekutowski i Jan Wolf.

Fot. Tomira Lipińska

linowski i Wolf, pokonując dalej krucha ścianę (VI, A3) wiodącą do trzeciego dachu.

2 marca przed świtem spakowaliśmy namioty, żywność i sprzęt. Niepewna pogoda sprawiała, że przeżywaliśmy chwile rozterki: poręczać dalej, czy decydować się na atak non stop? Plecaki przeciągnęliśmy razem pod pierwszy okap, potem Piekutowski i Wach poszli w górę, pokonali trzeci dach (VI, A4, krucho), a nad nim kominową ryś (VI, A4, krucho), doprowadzającą na małą półeczkę. Tu zabiwakowali, podczas gdy druga dwójka spędziła noc pod okapami, cierpiąc z powodu poranionych rąk. 3 marca Piekutowski i Wach przeszli 3 dalsze kruche i bardzo trudne wyciągi, którymi osiągnęli 2 położone jedna nad drugą półeczki. Obie dwójki spędziły na nich wspólną noc. Następnego dnia (4 marca) przebyto 2 ciężkie wyciągi (A3—A4, krucho), powyżej których znajdowała się rozległa platforma położona tuż pod ramieniem filara Bonatiego. Kolejny biwak założono już na filarze.

5 marca o godzinie 13 weszliśmy na tarasy podszczytowe, skąd trawersem dotarliśmy do drogi zejściowej, pozostawiając tu plecaki. Bez obciążenia wspięliśmy się 100—150 m na wierzchołek Petit Dru (3733 m), stając na nim o godzinie 15. Spotkaliśmy tu 2 dwójki słowackie i po pół godzinie rozpoczęliśmy zjazdy, którymi o 17.30 osiągnęliśmy *Flammes de Pierre* a następnie kuluarami lodowiec *Charpoua*. Z *refuge de la Charpoua* wyszła nam naprzeciw trójka Słowaków i dzięki ich pomocy zdołaliśmy jeszcze przed północą osiągnąć schron. Następnego dnia — 6 marca — w huragnie i śnieżyicy dotarliśmy po południu do *Les Praz*, gdzie jako pierwszy dopadł nas reporter *Radia Chamonix*. Od niego dowiedzieliśmy się o rozgłosie, jaki zyskało sobie nasze przejście — w radio przebieg wspinaczki komentował sam *Flematti*. 8 marca zostaliśmy zaproszeni przez dyrektora do złożenia wizyty w *ENSA* — zwiedziliśmy nowy gmach szkoły, spotkaliśmy się z *André Contaminem* i innymi profesorami alpinizmu i narciarstwa. Następnego dnia udzieliliśmy wywiadu re-

daktorowi „*Le Dauphine*”, z Paryża zaś przyjechała w tym samym celu redaktorka polonijnego „*Tygodnika Polskiego*”. 14 marca opuściliśmy *Chamonix*, udając się w drogę powrotną do kraju.

Pierwsze zimowe przejście *direttissimi* zachodniej ściany *Petit Dru* wzbudziło zainteresowanie, które przerosło wszelkie nasze oczekiwania. W czasie naszej wspinaczki rozstawione w *Chamonix* i *Les Praz* lunety były oblegane przez tłumy. Na każdym kroku odbieraliśmy dowody szczerego entuzjazmu i podziwu. A jaka jest nasza opinia o przebytej drodze? Można powiedzieć bez przesady, że jest to jedna z największych i najcięższych dróg w górach o charakterze alpejskim. Składa się na to szereg czynników: 1) Wielkie nagromadzenie trudności — na przestrzeni prawie 1000 m nie ma wyciągów łatwiejszych niż V. 2) Dolna część ściany, kuluar i 300 m płyt, zimą urasta do rangi poważnego problemu; w złych warunkach — a takie właśnie zastaliśmy — trudności wzrastają bardzo mocno, nie ma też żadnych stałych haków. 3) Na drodze przeważają wyciągi hakowe w nagromadzeniu, z jakim się jeszcze nie spotkałem. Wszystkie są w zasadzie niebezpieczne, wiele jest szerokich pęknięć i szczelin o kruchych ściankach, wypełnionych skalnym gruzem, spotyka się liczne zacięcia o odpękniętych ścianach, tworzących niekiedy tafle wysokości 50—100 m. Wszystkie okapy wyglądają tak, jakby się miały lada chwila oberwać. 4) Odcinki klasyczne są niezwykle męczące, często w amerykańskim stylu siłowe.

Dzięki stosunkowo dobrej pogodzie, zima 1975/76 przyniosła w Alpach szereg ciekawych osiągnięć i liczba wartościowych problemów zimowych znowu się zmniejszyła. Dobrze, że po kilku niepowodzeniach właśnie teraz udało nam się mocno zaznaczyć naszą obecność, gdyż przejście *direttissimi* w zgodnej opinii fachowców wysuwa się na czoło sukcesów alpejskiego sezonu.

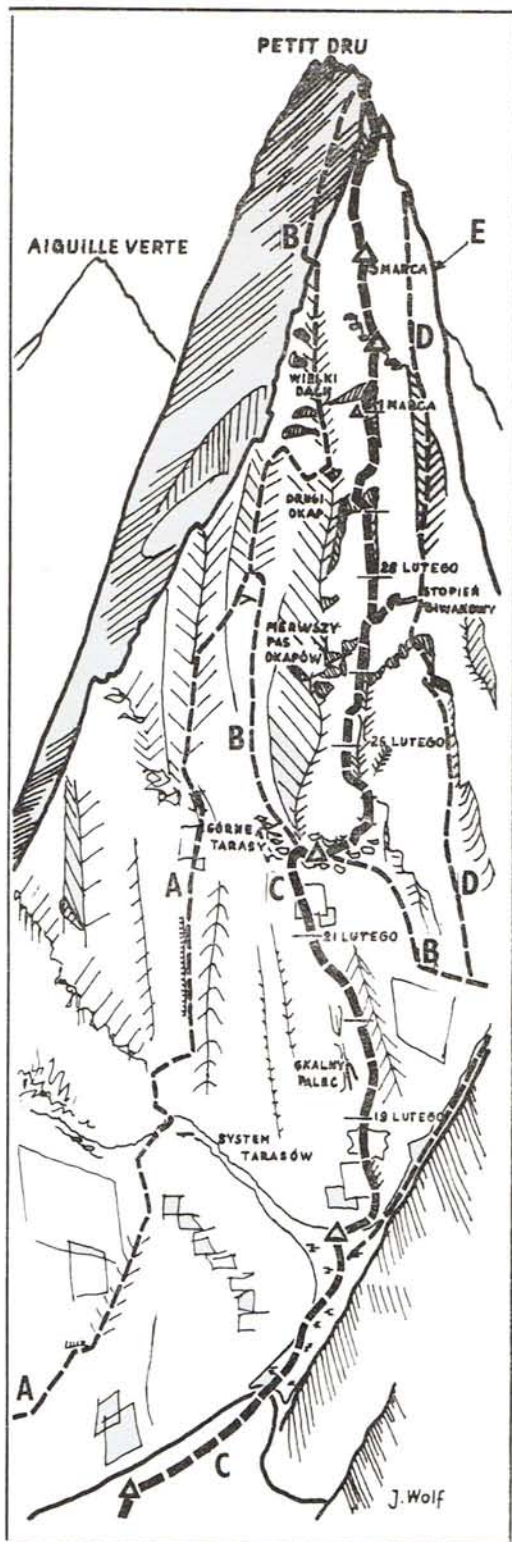
Direttissima

Do ostatniego ataku wyruszamy w ostatnią środę lutego. Dla mnie jest to już piąty wjazd kolejką z Argentière na Grands Montets. Ranek jest niewyraźny i mglisty, w górze wieje wiatr, nic nie wskazuje na zapowiadany okres dobrej pogody. Cały zasadniczy ekwipunek pozostawiliśmy w ścianie trzy dni temu, kiedy to gwałtowne załamanie pogody zmusiło nas do powrotu do Chamonix. Ślad na lodowcu Nant Blanc jest bardzo świeży, budzi to w nas nawet pewne obawy. Przecież zainteresowanie drogą jest duże. Na początku tej zimy wycofali się z niej — po dotarciu do górnych tarasów — René Desmairson, Robert Flematti i Jean Afanassieff. Nasz niepokój rozwiewa dwójka wspinaczy tkwiąca w północnych zerwach Col des Drus.

Chwilę odpoczywamy pod szczeliną brzeźną, dalej zwisają już nasze poręczówki. Po 150 metrach kuluaru, w miejscu gdzie biwakowaliśmy poprzednim razem, leży nasz sprzęt. Docieramy do niego bez trudu, jest mocno przysypany świeżym śniegiem. Pakujemy go we dwóch z Piotrkim Malinowskim, a Zbyszek Wach i Marian Piekutowski od razu ruszają do góry. Ich celem jest dotrzeć do końca liny poręczowej, a potem podciągnąć ją aż do „górných tarasów”. Te tarasy, to system skośnych, rozrzuconych na dość dużej przestrzeni małych pól i płyt. Jedną z nich już w zeszłym roku upatrzyłem jako odpowiednią do ustawienia malutkich namiotków.

Gdy opuszczam miejsce biwakowe w kuluarze, mam nadzieję, że nie wrócę tam już więcej. Niestety — 80 metrów wyżej upuszczam zacisk i nie pozostaje mi nic innego, jak zjechać i poszukać złośliwego przedmiotu. Jumar to w naszej sytuacji rzecz zbyt cenna, by można było z niego zrezygnować.

Cały nasz dobytek mamy spakowany w 8 workach. Trzy z nich, lżejsze, niesiemy na plecach, pozostałe wymagają przeciągania. Na 2 najcięższe nakładamy pozostawione pod ścianą przez Francuzów plastikowe „kołpaki”. Plecaki, niby normalne, na linie jakby przybierały na wadze. Na dłoniach powstają



Zachodnia ściana Petit Dru (3733 m) — trójkąkami oznaczono obozy i biwaki, poziomymi kreskami: ważniejsze etapy dzienne (przy niektórych podano daty). Drogi: A. directe americaine — Gary Hemming i Royal Robbins 24—27 lipca 1962; B. Lucien Bernardini, Guido Magnone, Adrien Dagory i Marcel Lainé 1—5 lipca i 17—19 sierpnia 1952; C. direttissima — John Harlin i Royal Robbins 10—13 sierpnia 1965, jedyne powtórzenie — Niemcy Geisenberger i Eisenacher 1972; D. Tomas Gros 21 kwietnia — 3 maja 1975 (samotnie); E. filar południowo-zachodni — Walter Bonatti 17—22 sierpnia 1955 (samotnie).

Opracował i rysował: Jan Wolf



Rysa przed drugim dachem — do krawędzi górnego okapu jest jeszcze 150 m.

Fot. Marian Piekutowski

pierwsze pęcherze, zranienia i odciski — będą one o sobie dawały znać podczas całej wspinaczki. Wspinająca się dwójka osiąga górne tarasy dopiero o zmierzchu. Ale czeka nas jeszcze długie, aż do północy, przeciąganie worów. W końcu jest ono najbardziej przykre dla moich towarzyszy, gdy szukając znanego mi miejsca na namioty zrzucam im na głowy tumany śniegu.

Zmęczeni harówką poprzedniego dnia, budzimy się o ósmej i dopiero o dziesiątej zaczynamy wspinanie. Trzy pierwsze wyciągi są klasyczne. Teren jest pokryty świeżym śniegiem, który słabo trzyma się na płytach. Dalej o lekką zadyszkę przyprawia mnie wspaniały 30-metrowy kominek, siłowy w typowo amerykańskim stylu. Potem jest tylko krucha ścianka, mały trawers po blokach i już „można” wyjąć ławeczki. Tymczasem zza grani Flammes de Pierre wychodzi słońce, które na trzy godziny oświetli naszą ścianę. Akurat tyle zajmuje nam następny wyciąg. W ostatnich promieniach zjeżdżamy do naszych namiotów — na kolację.

Następnego dnia wspinają się Zbyszek i Marian. Pojawia się problem z wyborem właściwej drogi. Marian próbuje z lewej a potem z prawej strony olbrzymiej płyty, wreszcie wybiera wąską szczelinę środkiem. Niestety

zanika ona po 20 metrach, co zmusza go do skomplikowanego wahadła. Jak się potem okazuje, właściwa droga wiedzie jednak bardziej z prawej. Kolejny wyciąg doprowadza Zbyszka do olbrzymiej ośnieżonej płyty tuż pod okapami. Znajduje tam zwisające szczątki starej liny — czyżby ślady pierwszych zdobywców?

Strefę okapów przebywam z Piotrkim już następnego dnia. Wyciąg ten jest ostatnim znanym mi z zeszłorocznej próby. Prowadzi przewieszonym zacięciem z zaklinowanymi i poprzyklejanymi płytkami, wiem jednak, że można pokonać go bezpiecznie. Najpierw trzeba obejść blok z prawej. Potem jest odcinek sprasowanego szuterku, w którym świetnie siedzą jedyńki. Dalej można posłużyć się kostkami, by w końcu przejść dwa męczące okapiki na bongach. Postanawiam dostać się na opisany przez zdobywców stopień biwakowy. Nie jest to wcale takie łatwe, trzeba pokonać następny „amerykański” kominek i krótki odcinek hakówki. Po godzinie wołam w kierunku tarasów:

— Zbyszek, stopień jest 20 metrów w bok od drogi. Można biwakować tylko siedząc!

Szybka decyzja: nie będziemy tu zakładać biwaku, mamy jeszcze poręczówki. Wracam z powrotem na stanowisko do Piotra. Tego dnia udaje mi się przejść jeszcze 50 metrów. Krótki klasyczny wyciąg doprowadza pod sławne zacięcie z dachówkowatymi bloczkami: to tutaj Harlin dostał kamieniem w nogę i poleciał. Wspinam się pełen niepokoju: dwa razy pod rząd obciążony hak obraca się w szczelinie, a ja nerwowo cofam się w dół... O zmroku docieram do niesamowitego skalnego „kalafiorka” — jakiejś przedziwnej piramidki z zaklinowanych w szczelinie bloków. Pozostawiam go na jutro.

Następny dzień jest niedziela. Napoczęty wyciąg kończy Zbyszek, a potem przechodzi następne 60 metrów. I ten odcinek obfituje w niestabilne kamienie. Siedząc wygodnie w namiotach na tarasach jesteśmy raz po raz alarmowani okrzykami: „Uwaga kamień!” Przelatują obok nas i żaden na szczęście nie wyrządza szkody, efekty akustyczne są za to kapitalne.

Gdy kolejnego dnia wydostaję się z pomocą jumarów na górne stanowisko, czas jakiś muszę poświęcić niezwykłej scenerii, jaką tu zastaję: nade mną wystaje olbrzymi dach utworzony z bloku zaklinowanego w zacięciu, pod nim luźne płyty i sypki szuterok, dalej odstrzelona turniczka i dziwnie zaklinowany złom granitu. Po pokonaniu tego tak skomplikowanego terenu jestem pewien, że dalej trudności będą mniejsze. Jak błędne są moje powierzchowne rachuby, przekonują się niabawem: tego dnia udaje mi się przejść jeszcze tylko jeden wyciąg. Charakter terenu zmusza do stosowania zasady: jeśli wisisz w kostce, to w tę samą szczelinę możesz wyżej wbić hak — i na odwrót. W którymś

miejscu, aby nie wbijać haków w tę samą szczelinę, w której wiszę, wkładam hak na dziób młotka i po chwili ekwilibrystyki lokuję go w sąsiednim pęknięciu. Lina kończy mi się 10 metrów przed sławnym wielkim dachem. Tego wieczoru podejmujemy decyzję, że jutro opuszczamy nasze obozowisko na tarasach, do którego tak bardzo zdążyliśmy się przyzwyczaić. Spędziliśmy tu 6 wygodnych nocy, a małe namioty zapewniały nam maksimum górskiego komfortu.

We wtorek ruszamy do góry z pełnym ekwipunkiem. Zbyszek z Marianem idą szybciej, pokonują wielki dach i docierają do małego stopnia, gdzie biwakują. My transportujemy sprzęt i likwidujemy liny. Nasz biwak jest bardzo niewygodny, wisimy 120 metrów niżej niż koledzy — pod okapem, wkliniwani pomiędzy odstrzeloną turniczkę i wiszący blok. Transport dał się nam solidnie we znaki: popękane, pościerane i opuchnięte dłonie pulsują bólem. Jest zimno, mimo wszystko próbujemy drzemać.

Całe następne dwa dni zajmuje nam ostatni 200-metrowy odcinek dzielący nas od filara Bonattiego. Wspinają się Zbyszek z Marianem. Wbrew pierwotnym nadziejom ściana nie chce popuścić; starych haków nadal nie ma, teren jest mylny a trudności wciąż duże. Z dołu dochodzą nas dziwne nawoływania. Najpierw są niezrozumiałe, później brzmią w milęj uszom słowaczynie:

— Dobier! Nie, nie červenu, modru!

— Tiahaj, tiahaj batoh!

Po jakimś czasie już wiemy: to Andrej Belica i Igor Koller kończą obok wariant amerykański, czyli drogę Heminga. Okazuje się, że tuż po nas do Chamonix przyjechała

duża i silna grupa naszych kolegów i przyjaciół z Czechosłowacji. Jeden z jej zespołów miał nawet w planie drogę, którą my robimy.

Następny biwak jest dość wygodny: dwie małe półeczki pozwalają siedzieć razem całej naszej czwórce. Wreszcie w czwartek wieczorem osiągamy tak upragnioną wygodną platformę na filarze Bonattiego. Koniec właściwych trudności, koniec nieznanego terenu, jesteśmy już pewni, że jutro osiągniemy szczyt.

W piątek, około trzeciej po południu, stajemy wszyscy na tym tak pięknym i sławnym wierzchołku. Niesłychana radość, zadowolenie, satysfakcja. Witamy się ze Słowakami, którzy na nas zaczekali. Jest ich także czwórka, bo Jaromil Stejskal i Zdislav Drlik już wczoraj weszli na szczyt, robiąc pierwsze zimowe przejście i pierwsze powtórzenie polskiej drogi na północnej ścianie Petit Dru. Są bardzo głodni ale żywo komentują drogę, oceniając trudności i przebieg. Wszyscy jesteśmy pod wrażeniem niezwykłego naszego spotkania na tym tak bardzo niedostępnym szczycie Alp: trzy zespoły, trzy fantastyczne pierwsze przejścia zimowe i ośmiu alpinistów, dla których pierwszymi górami są Tatry...

Czas nieubłaganie ucieka, trzeba się spieszyć. Około 25 zjazdów, trawers lodowca Charpoua i o godzinie 23 docieramy, bardzo już zmęczeni, do małego Refuge de la Charpoua. Rano silny wiatr trzęsie całym schroniskiem, w górach rozpętuje się śnieżna zawierucha. Gwałtowny opad zamienia zejście łatwym lodowcem Mer de Glace w prawdziwą gehennę. Mieliśmy tyle tylko pogody, ile było potrzeba — ani jednego dnia więcej, ale też — i to jest najważniejsze — ani dnia mniej.

Zbyszek Wach prowadzi...

Fot. Marian Piekutowski



Alpy Francuskie — lato 1975

W kolejnych numerach 3 i 4/1975 czasopiśma „La Montagne et Alpinisme” ukazały się informacje o przebiegu letniego sezonu 1975 w Alpach Francuskich, a zwłaszcza w grupie Mont Blanc. Sezon ten — jeden z najbardziej pomyślnych pod względem meteorologicznym (do połowy sierpnia) — okazał się też jednym z najbardziej owocnych pod względem liczby i klasy przejść. W niektórych okresach i na niektórych drogach chętnych było zbyt wielu — rekord padł w kuluarze. Gervasuttiego na Mont Blanc du Tacul: jednego dnia 20 zespołów! Wśród wielu przejść największe zainteresowanie budzą z pewnością nowe drogi. Oto kilka z nich: lewą częścią północnej ściany Les Droites, pokonana w dniach 2—3 sierpnia przez Jean-Marca Boivina i Patricka Garbaru, którą zdobywcy uznali za piękniejszą i nieco trudniejszą od drogi Cornuau-Davaille; na Col du Dru od północy, przebyta w dniach 27—30 października (sic!) przez Emanuela Schmutza i Claude Tuccinarolię, którą Lucien Devies określił jako „najbardziej alpejski problem, jaki pozostawał do rozwiązania w masywie Mont Blanc”; południowo-wschodnim filarem Aiguille d'Argentière, przebyta 12 maja przez Georgeseta Bettembourga i Herve Thivierge'a. W swej kronice „La Montagne” wymienia także polską drogę na północnej ścianie Grandes Jorasses (T. 1/76 s. 12). Z wielkich dróg lodo-

wych i mieszanych po kilka powtórzeń miały północna ściana Droites, Całun na Grandes Jorasses i północno-wschodni kuluar Dru. Oczywiście najczęściej wrzawy wywoływały przejścia samotne, z których wymienić trzeba: trawersowanie Aiguille du Midi — Aiguille du Grépon (M. Bernex); przejście ciągiem w półtora dnia drogi Bonatti-Gobbi na Filarze Narożnym oraz filara Fréney (N. Jaeger); nową drogę na północnej ścianie Filara Narożnego między drogami Dufour-Frehel i Cecchinel-Nominé (J. Bouchard). W podsumowaniu sezonu Lucien Devies zwraca uwagę, że nowe możliwości, jakie otwierają nowoczesne typy czekanów i raków, przyczyniają się do zapominania klasycznych zasad posługiwania się tym sprzętem, a w zejściach i na trawersach pozostają one nie zmienione.

Ze swej strony dorzucmy inne spostrzeżenie — na nasz wewnętrzny użytek. Latem 1975 r. Alpy Francuskie miały wyjątkowo dobrą pogodę i dziesiątkom alpinistów polskich, którzy ujrzeni je po raz pierwszy, zaprezentowały się w pełnym blasku słońca. Byłoby źle, gdyby na podstawie tego jednego spotkania chcieli oni zrobić sobie ogólną opinię o trudnościach gór lodowcowych i warunkach, jakie w nich panują. Opinia taka rychło mogłaby się okazać zdradziecka...

Andrzej Paczkowski

Kłopoty przewodników w Alpach

W Mittenwaldzie odbył się jesienią 1975 r. VI Zjazd Niemieckiego Związku Przewodników Górskich i Narciarskich, na którym poruszono szereg bolączek przewodnictwa alpejskiego. Prezes Związku, Franz Rasp, stwierdził, że napór na góry jest tak ogromny, iż w sezonie letnim stale brak jest przewodników. Okres ten trwa jednak tylko 3 miesiące i nie stanowi podstawy do budowania na nim egzystencji. Spośród 150 w RFN „dyplomowanych” przewodników wysokogórskich, tylko ok. 20 proc. utrzymuje się z tego zawodu. Z wielu wypowiedzi na Zjeździe wynikało, że współczesne konsumpcyjnie nastawione społeczeństwo uważa, iż „każdą wspinaczkę można kupić”. Większość „alpinistów za pieniądze” nie zdaje sobie jednak sprawy z tego, że nie można kupić wspinaczki bez ryzyka i że obiektywne trudności i niebezpieczeństwa w górach zawsze istnieją i będą istnieć. Ze słowami ostrzeżenia zwrócił się

do delegatów prokurator Erich Knoll, sam świetnie zorientowany w sprawach alpinizmu. „Królem” na górze — powiedział — jest nie turysta, lecz przewodnik i on ponosi całą odpowiedzialność. Jeśli warunki okażą się zbyt trudne, przewodnik winien zawrócić z drogi wbrew woli klienta — za skutki kontynuowania wspinaczki odpowiada on nawet wówczas, jeśli zabezpieczy się pisemnym poleceniem. Nie jest też dopuszczalne rozdzielanie się z podopiecznym na podstawie pisemnego oświadczenia tego drugiego, gdy on sam chce iść dalej. Wiele uwagi poświęcił Zjazd sprawom obowiązkowego ubezpieczenia przewodników, z którego dobrodziejstw w RFN korzystają tylko przewodnicy zatrudnieni w ośrodkach szkoleniowych. Wyrażono życzenie, by sprawa ta została jak najrychlej uregulowana.

Antoni Janik

Krywań Anno Domini 1761

Przeglądając zbiory wiedeńskiego Kriegs-Archiv (zob. T. 3/73 s. 118) natknąłem się w r. 1974 na nowy interesujący przyczynek do dziejów badań Tatr i początków taternictwa, a mianowicie rękopiśmienną mapę rozmiarów 67,3 x 47,3 cm z r. 1762, zatytułowaną „Reise-Karte nach dem Carpathischen Gebürg”, a będącą graficznym wyobrażeniem dwóch podróży odbytych w rejon Tatr i Podtatrza w latach 1751 i 1761¹⁾.



Pierwsza z nich — oznaczona pasemkiem żółtym — pozwala się rozszyfrować bez trudu: jest to znana i wiele razy opisywana wyprawa „uczonych” austriackich, którą po rejonie Tatr oprowadzał Jakob Buchholtz i z której sprawozdanie wydrukował w r. 1783²⁾. Większe zainteresowanie budzi oznaczona pasemkiem zielonym ekskursja druga — z r. 1761, o której do tej pory w literaturze tatrzańskiej było zupełnie głucho. Śledząc jej przebieg odnosi się wrażenie, że stała ona w bliskim związku z wyprawą poprzednią. Jej trasa prowadzi południowymi podnóżkami Tatr — z jedynym wypadem do ich wnętrza: na Krywań. Wejście na ten szczyt odbyło się przez Szczyrbskie Jezioro i z trawersowaniem masywu, tak jak to dziś umożliwiają znakowane szlaki. Na mapie obie drogi — od wsi Luczywny (Lautspurg czyli Lautschburg) i od wsi Hybie (Hibb) — łączą się w górze, a na sam wierzchołek wyprowadza jedna już krótka linia. Można więc przyjąć za pewne, że celem wycieczki były nie tylko kopalnie krywańskie, lecz i sam szczyt, uchodzący wówczas za najwyższy w Tatrach. Wejście mogło być połączone z próbą zmiernienia wysokości. Pod tytułem mapy widnieje uwaga, iż „największa wysokość tych gór wynosi bez mała 1200 paryskich toise nad poziom morza”, co w przeliczeniu daje ok. 2340 m i jest oceną zupełnie realistyczną, zwłaszcza na tle tego, co w owym czasie o wysokości Tatr wypisywano.

Mapa przedstawia góry w rzucie pionowym, odchodząc od częstej jeszcze wtedy manieri widzenia perspektywicznego. Obraz Tatr jest

mocno uproszczony, a w oczy rzuca się rażąca degradacja spiskiej części Tatr Wysokich. Wyodrębniono i nazwano tylko jeden szczyt — Krywań, tkwiący jakby w grzbiecie głównym i dokładniej rozpoznany tylko od strony południowej. Resztę pasma markują kopczyki, w których — gdyby puścić wodze wyobraźni — można by się domyślać niektórych masywów, na przykład Trzech Wierchów, czyli grupy Lomnicy. Zupełnie fałszywe są granice państwa i granice komitatów. Dużą część dolnego pola zajmują objaśnienia do rozrzuczonych na mapie 36 cyferek — niemal wyłącznie mineralogiczno-geologiczne, wolne jednak od wierzeniowo-fantastycznej nadbudowy, tak znamiennej dla opisu samego Buchholtza. Tatr dotyczy jedna notka — nr 18: „Obok wodospadu w Dolinie Wielickiej w skale czerwone, dość duże, lecz nieczyste granaty.” Warto zwrócić uwagę, że nazwę doliny zapisano w słowackiej formie „Velka”, a nie w powszechnym wówczas węgierskim zniekształceniu „Felka”.

Mapa wnosi nowe elementy do dziejów badań Tatr i turystyki tatrzańskiej. Po raz pierwszy pojawia się graficzna forma przedstawiania wycieczek. Zyskujemy kartograficzny podkład do słownego opisu wyprawy z r. 1751, pokazanej tu w całym rozwinięciu — od Trnavy aż po Tokaj. Na obszarze Tatr jej trasa przechodzi przez Dolinę Jaworową i Przełęcz pod Kopą, zaznaczony jest też wypadek w Dolinę Wielicką, nie ma jednak, a szkoda, wycieczki Buchholtza do „Jeziora Przybylińskiego”. Dokonane w trakcie drugiej podróży wejście na Krywań wyprzedza znane nam dotąd wejścia na ten szczyt o co najmniej 9 lat. Jak pamiętamy, w dniach 3 i 4 sierpnia 1783 r. w gronie paru osób odbył wycieczkę na Krywań Andreas J. Czirbesz, który jednak już rok wcześniej podał w druku pewne szczegóły o jego wierzchołku, uzyskane od 2 oficerów służby pomiarowej, niewątpliwie por. Fleischera³⁾ i kpt. Waldaua, którzy w rejonie Tatr pracowali w r. 1770. Nie ulega wątpliwości, że i wejście z r. 1761 nie było pierwszym w ogóle. Krywań zbyt łatwo wzywał swą oryginalną sylwetką, a był przy tym łatwo dostępny i w pewnym sensie „zagospodarowany” (osiedle górnicze na wysokości 2000 m).

Nie jest znany adresat mapy w Wiedniu, fakt jednak znalezienia jej w zbiorach dawnej wojskowej pracowni kartograficznej zdaje się świadczyć o tym, że przekazano ją tu właśnie. Jako budzący zaufanie dokument sporządzony z autopsji, mogła ona wyrzec pewien wpływ na tworzone wówczas mapy — jej przedstawienie Tatr warto np. porównać z mapą I. Müllera z r. 1769 — zbieżności są uderzające. Wolno także przyjąć, że przez

Jaskinia Księżycowa po raz drugi

W roku 1974 wyprawa Akademickiego Klubu Speleologii i Alpinizmu Politechniki Częstochowskiej odkryła w grupie górskiej Hoher Göll w Austrii nową, wielką jaskinię, w której udało się jej zejść na głębokość ok. 380 m (szczegóły T. 1/75). Perspektywa dalszej eksploracji i teoretyczna możliwość osiągnięcia głębokości rzędu 1000 m były powodami, dla których zaraz po powrocie do kraju zaczęto myśleć o ponowieniu ataku.

Tak poważny problem wymagał szczególnie dbalego przygotowania wyprawy. Liczono się z trudnościami najwyższego rzędu, konieczne więc było przygotowanie niezbędnego sprzętu technicznego i biwakowego oraz starannie dobranej żywności. Na tym jakże trudnym dla każdej wyprawy etapie wydatnej pomocy udzieliły organizatorom władze Politechniki Częstochowskiej, Rada Uczelniana SZSP, liczne zakłady pracy z Częstochowy i województwa. Całość prac przygotowawczych wzięł na siebie Komitet Organizacyjny a w trudne i niewdzięczne czynności organizacyjne najwięcej pracy włożyli Bożena Dziuk, Grażyna i Bogumił Kurkowie, oraz Jakub Owczarek.

Przed wyjazdem z Polski wyprawa nawiązała kontakt z zaprzyjaźnionym Landesverein für Höhlenkunde z Salzburga. W jej skład weszli: Grażyna Kurek, Dorota Serdak, Paweł Kopec (lekarz), Zdzisław Krukowski, Bogdan Kurek, Jan Gottowt, Krzysztof Hancbach, Jan Leciński, Jakub Owczarek (kierownik), Andrzej Prokop, Janusz Radziejowski, Waldemar Radziejowski, Andrzej Wosiński oraz Krzysztof Miller, który z ramienia Ośrodka TVP w Katowicach miał kręcić film o wyprawie. Na miejscu dołączyli do nas Austriacy Edith Bednarik oraz Helfried Ensmann.

Obóz główny założyliśmy w dolinie Bluntau w pobliżu schroniska Bärenhütte, którego właściciele, państwo Dick, są wielkimi przyjaciółmi polskich grotolazów. Następane dni poświęciliśmy na transport sprzętu i żywności do położonego na wysokości 1840 m aluminiowo-styropianowego schronu, który speleolodzy austriacy zbudowali jako oparcie dla wypraw do pobliskiej Gruberhornhöhle (-854 m).

Po rozpięciu — niezależnie od ubezpieczeń austriackich — dodatkowych poręczówek i po przetransportowaniu sprzętu do chatki, założyliśmy ubezpieczenia na skalno-trawiastej grzędzie, prowadzącej znad schronu do karu, w którym na wysokości 2005 m znajduje się pionowy otwór Mondhöhle. Tuż obok studni wejściowej założony został obóz szturmowy (2 namioty), z którego H. Ensmann, A. Prokop i J. Radziejowski dokonali pierw-

szego wejścia do jaskini. W trakcie kilkunastogodzinnej akcji, 9 sierpnia założone zostały ubezpieczenia w przeszło 200-metrowej studni, a Ensmann i Radziejowski dotarli na głębokość 185 m. Następnego dnia do jaskini zeszli K. Hancbach, Z. Krukowski i J. Leciński. Dotarli oni do głębokości 384 m, skąd wycofała się nasza wyprawa w r. 1974. Wspomniana trójka zjechała na dno kolejnej studni (20 m) i stwierdziła, że dalej jaskinia ciągnie się w postaci niewielkich studzienek podobnych do „kaskad” znanych z poprzedniej wyprawy.

12 i 13 sierpnia w jaskini działał drugi zespół szturmowy: J. Owczarek, A. Prokop, W. Radziejowski i A. Wosiński. Czwórka ta miała zejść jak najniżej i poszukać miejsca na obóz, gdyż uznaliśmy, że dalsza eksploracja jaskini musi się opierać o bazę podziemną. Kilkanaście metrów poniżej miejsca, gdzie dotarła poprzednia grupa, zespół znalazł półkę o rozmiarach 2 x 1,5 m, zawieszoną nad głęboką studnią. Kamienie rzucone w jej kierunku leciały ok. 13 sekund (stąd późniejsza nazwa), według czego obliczono głębokość na blisko 150 m. Przez kilka godzin zespół szturmowy bezskutecznie szukał obęścia studni, penetrując szczelinę odchodzącą w bok od „Kaskad”. Po powrocie nad studnię zdecydowano się na odwrót i po 27 godzinach grotolazi wrócili na powierzchnię.

W tym czasie trójka naszych kolegów, znajdujących się wówczas w bazie w dolinie, została wezwana do włączenia się do wyprawy ratunkowej po speleologa belgijskiego, który uległ wypadkowi w jaskini Ahnenschacht. Międzynarodowa akcja, w której wzięli udział Belgowie, Austriacy, Polacy, Francuzi i Niemcy, trwała 3 dni i skończyła się sukcesem. W jej trakcie P. Kopec pełnił funkcje lekarza a Z. Krukowski i J. Leciński spędzili kilkadziesiąt godzin w jaskini transportując ranego Belga wraz z grotolazami z Salzburga, kierowanymi przez Waltera Klappachera. Udział Polaków w tej akcji został wysoko oceniony przez miejscowych specjalistów oraz przez lokalną prasę i telewizję.

Akcja ratunkowa spowodowała kilkudniową przerwę w naszej działalności w Mondhöhle. Gdy można już było podjąć dalszą eksplorację, nastąpiło pogorszenie i tak nie najlepszej pogody. Mając w pamięci nagły przybór wody w jaskini, z jakim zetknęła się ubiegłoroczna wyprawa, postanowiliśmy zawiesić działalność aż do czasu polepszenia się pogody. Dopiero 20 sierpnia do jaskini weszli E. Bednarik, J. Gottowt, K. Hancbach i J. Radziejowski, którzy mieli kontynuować eksplorację, poszukując jednocześnie niżej położo-

nego miejsca na obóz i oczekując przybycia drugiej czwórki szturmowej (J. Leciński, Z. Krukowski, A. Prokop i W. Radziejowski).

Po dotarciu nad problemową Studnię Trzynastu Sekund z miejsca przystąpiliśmy do zjazdów. Pierwszy zjeżdżał Hancbach. Po 80 metrach dotarł on do dwóch niewielkich półlecek. Nad niższą z nich, w linii spadku liny, tkwił chybliwy głaz wagi ok. 100 kg. Zjazd poniżej niego groził śmiertelnym niebezpieczeństwem. Po kilku próbach usunięcia przeszkody okazało się, że to zadanie przerasta siły jednego człowieka. Na półleccze rozbity został więc namiot, w którym grupa odpoczęła przez kilka godzin i 21 sierpnia wieczorem podjęła następną próbę zrzucenia głazu. W tym samym czasie nawiązany został kontakt głosowy z nadchodzącą z góry drugą czwórką. Jako pierwszy szedł J. Leciński. W Studni Jasia wskutek zerwania się liny, na której zjeżdżał, spadł on kilka metrów, klinując się na szczęście w szczelinie. Przy pomocy kolegów z obu grup został stamtąd wydobyty i spuszczone na miejsce biwaku. Skończyło się na kontuzji nogi w kostce — zwichnięciu połączonej z pęknięciem kości. Kontynuując działalność eksploracyjną, do studni zjechali K. Hancbach i E. Bednarik. Po kilku próbach udało im się usunąć niebezpieczny głaz — dalsza droga w głąb była wolna! 22 sierpnia na dzień studni stanęli kolejno: Hancbach, Bednarik, Gottowt i J. Radziejowski. Ustalono, że liczy ona 120 m głębokości. Jednakże próby znalezienia dalszej drogi okazały się bezskuteczne. Dno studni o średnicy 5 m zalegają olbrzymie wanty, między którymi można zejść kilka metrów niżej — nad położony na głębokości 543 m syfon końcowy. Zaobserwowano niewielki przepływ wody w syfonie — ok. 0,5 l na sekundę.

Tak więc osiągnięto najgłębszy punkt w jaskini. Uczestnicy wyprawy zostawili na dzień puszkę z kartką odnotowującą I zejście na dno Mondhöhle. Podkreślić należy, że uczestnicząca w zejściu kobieta, Austriaczka Edith Bednarik, zademonstrowała znakomitą formę i nieprzeciętne umiejętności techniczne, zdra-

dżające alpinistkę jaskiniową wielkiej klasy.

Po kilkugodzinnym pobycie na dzień, rozpoczęliśmy odwrót. W trakcie wychodzenia do półki biwakowej, w wyniku silnej burzy na powierzchni, w jaskini nastąpił gwałtowny przybór wody. W pół godziny przepływ zwiększył się z ok. 0,5 l do ok. 30 litrów na sekundę. Wychodzący jako ostatni J. Gottowt dostał się pod silny 80-metrowy wodospad, którego strumień zmusił go do powrotu na półkę. W trakcie tej operacji odpiął mu się pierśiowy zacisk marki „Petzel” i grotolaz zawisnął głową w dół. Wielkim wysiłkiem udało mu się zjechać na półkę. Na półce tej 8-osobowa grupa spędziła kilkanaście godzin. Wyjście wyżej było niemożliwe, gdyż drogę odciła wezbrana woda. Strumień spływał przez „Kaskady”, a następnie przez szczelinę powyżej biwaku wpadał do Studni 13 sekund. Jak się później okazało, półka, na której rozbiliśmy biwak, była jedynym suchym miejscem w jaskini poniżej półki na -144 m. Gdy wody opadły — rozpoczęliśmy odwrót. Po przeszło 100 godzinach przebywania pod ziemią, 25 sierpnia wyszliśmy na powierzchnię, przy czym na szczególne uznanie zasłużył J. Leciński, który mimo bolesnej kontuzji samodzielnie pokonywał wielkie trudności drogi.

Obecnie eksplorację Mondhöhle właściwie należy uznać za skończoną. Prowadzenie dalszej działalności odkrywczej wymagałoby udziału nurków oraz dłuższego okresu bezdeszczowej pogody, w czasie której można by było bezpiecznie prowadzić działalność poza syfonem. Nie wykluczone, że po dłuższym okresie bez deszczów syfon może się okazać otwarty. Problem polega na tym, by w taki okres utrafić. Wydaje się też, że ewentualna działalność zimą nie bardzo wchodzi w rachubę, a to ze względu na trudne i, jak twierdzą Austriacy, lawiniaste podejście.

Kończąc, chciałbym podziękować grotolazom austriackim za liczne dowody gościnności i życzliwości, z jakimi na każdym kroku spotykała się z ich strony nasza wyprawa.

JERZY GRODZICKI

24 doby w Jaskini Miętusiej

W ramach inwentaryzacji jaskiń tatrzańskich, prowadzonej przez Oddział Warszawski PTPNoZ, od 21 grudnia 1975 do 15 lutego 1976 r. przeprowadzono pod kierownictwem autora niniejszego doniesienia prace dokumentacyjne w najdłuższej jaskini Polski — Miętusiej.

Odkryta w r. 1936 przez Władysława Goryckiego i braci Zwolińskich, jaskinia ta w wy-

niku z górą 20-letniej eksploracji prowadzonej przez Speleoklub Warszawski powiększyła swą długość z 960 m znanych w r. 1953 do przeszło 6 km (1975). Jednak prace dokumentacyjne nie nadążały za postępem eksploracji: z prawie 6,5 km zwiedzonych korytarzy dokumentację w postaci planu miało zaledwie 4,5 km. Tak więc do skartowania pozostawało ok. 2000 m korytarzy, położonych w najodleg-



Uproszczony rzut Jaskini Miętusiej na mapę w skali 1:10 000 (powiększony wycinek mapy fotograficznej „Tatry” 1:20 000 z r. 1938). Strzałką oznaczono wlot jaskini, trójkątkiem — miejsce obozowania.

Opracował: Jerzy Grodzicki

lejszej partii, za trzema syfonami. Dodatkowe problemy stwarzał fakt, iż dotychczasowe plany sporządzone były na podstawie pomiarów z różnych lat, wykonywanych przez różne osoby, a znaczna ich część nie była powiązana w jednolitą sieć. Pamiętać przy tym trzeba, że Miętusia należy do tych nielicznych jaskiń, w których nagromadzone są wszelkie trudności, jakie w ogóle można spotkać w jaskiniach: przeszkody wodne, kominy i studnie o znacznej głębokości, trudności wspinaczkowe w stopniu IV—VI na zablokowanych progach i w kominach, znacznej długości ciasne odcinki, zawałiska... Również sama rozległość jaskini stwarza niemałe dodatkowe utrudnienia.

Warunki te narzucały konieczność zorganizowania długotrwałego biwaku w odległych od otworu partiach jaskini — przynajmniej dla dwóch grup pomiarowo-dokumentacyjnych. Z wyliczeń wynikało, że aby dokonać przewidzianych programem prac i obserwacji, okres pobytu 8- do 10-osobowej grupy musi wynosić około 25 dni. Ze względu na uciążliwe dojście do miejsca planowanego biwaku (ok. 1100 m od otworu, łącznie ponad 350 m wspinaczki w górę i w dół, pokonanie 3 syfonów) nie było możliwe bieżące zaopatrywanie biwaku z powierzchni, pomijając nawet trudności ze skompletowaniem na tak długi okres licznej grupy wspierającej. Ekipie pracującej w głębi jaskini należało więc zapewnić pełną samowystarczalność na cały okres pobytu, odpowiednio organizując wyprawę.

Akcja inwentaryzacji Jaskini Miętusiej została podzielona na 3 etapy. W pierwszym, trwającym od 21 grudnia do 4 stycznia i kierowanym przez Antoniego Bąka, 20-osobowy

zespół przetransportował 50 ładunków o łącznej wadze ok. 1000 kg na miejsce przyszłego biwaku. Po zwinięciu ubezpieczeń w jaskini, cały zespół powrócił do Warszawy.

Drugi etap rozpoczęło założenie ubezpieczeń do pierwszego syfonu przez 3-osobowy zespół w dniu 16 stycznia. Dobę później weszli do jaskini Mirosław Burkački, Jerzy Grodzicki, Rafał Kardaś, Piotr Kulbicki, Halina Ptasiwicz i Marek Sygowski, transportując 8 ładunków i zakładając biwak nad Szmaragdowym Jeziorkiem, 1100 m od otworu. Następnego dnia wieczorem przybyli do miejsca biwaku Antoni Bąk, Jacek Bzowski i Wojciech Przybyszewski, donosząc dalsze 5 ładunków. Od 19 stycznia cały zespół wykonywał dokumentację korytarzy jaskini w jej najodleglejszych partiach. Większość prac odbywała się w nadzwyczaj trudnym terenie, w stromo nachylonych korytarzach, wymagających stosowania wszelkich technik wspinaczkowych. W trakcie wykonywania pomiarów pokonywano kilkudziesięciometrowe studnie, progi i kominy — wiele z nich po raz pierwszy. Jednocześnie prowadzono obserwacje mikroklimatyczne, geologiczne i hydrologiczne, wykonywano też dokumentację fotograficzną oraz pomiary biomedyczne — te ostatnie dwa razy dziennie. 29 stycznia jedna z grup pomiarowych odkryła nowy, bardzo trudny i rozległy system studni i korytarzy, sprowadzający na głębokość przeszło 100 m. Odkrycie to zwiększyło długość Jaskini Miętusiej do 8 kilometrów.

1 lutego rozpoczął się trzeci etap wyprawy. Do bazy w Dolinie Kościeliskiej przybył 16-osobowy zespół wspierający, kierowany przez Antoniego Szabunio. Jego zadaniem było do-

konanie pomiarów uzupełniających we wstępnych partiach jaskini, wymiana części osób biwakujących we wnętrzu oraz uzupełnienie ewentualnych braków sprzętu. Tego samego dnia po 15 dobach biwakowania wyszli na powierzchnię M. Burkacki, R. Kardaś, P. Kulbicki, H. Ptasiewicz i W. Przybyszewski. Trzeciego lutego wieczorem na biwak przybyli Dorota Lobočka, Maria Małek, Antoni Szabunio i Zbigniew Tkacz. Grupa biwakowa w nowym składzie działała do 10 lutego — jedynie lekko zaziębiony M. Sygowski opuścił biwak 6 lutego i wraz z grupą zaopatrzeniową wyszedł na powierzchnię — po 20 dobach biwakowania.

10 lutego grupa biwakowa dokonała retransportu sprzętu do tzw. syfonu Marynarki Wodnej, gdzie spotkała się z grupą pomocniczą. Wyjście na powierzchnię wraz ze sprzętem zajęło 41/2 godziny. 15 lutego wszyscy uczestnicy wyprawy wrócili do Warszawy.

W wyniku przeprowadzonej akcji sporządzono plan jaskini dla 7300 m korytarzy, w tym 800 m dotychczas nieznanych. Ponadto odkryto nowe ciągi o długości szacowanej na z górą 700 m. Zebrano bardzo ciekawy materiał obserwacyjny dotyczący tektoniki, namulisk i mikroklimatu jaskini, przeprowadzono też długą serię pomiarów biomedycznych dla wszystkich uczestników biwaku oraz interesujące testy psychologiczne.

Jedna osoba — J. Grodzicki — spędziła pod ziemią 24 doby, dwie — A. Bąk i J. Bzowski — 23 doby, jedna — M. Sygowski — 20 dób, pięć (w tym jedna kobieta) — 15 dób i cztery

— 7 dób. Był to najdłuższy biwak w historii polskiej speleologii i jednocześnie pod pewnymi względami unikalny w świecie. Jego niezwykłość polegała na następujących czynnikach:

1. Biwak założony był w jaskini o wysokim stopniu trudności i to w znacznej odległości od otworu. Prawie wszystkie dotychczas organizowane na świecie długotrwałe pobytu pod ziemią odbywały się w oparciu o biwaki założone w partiach przyotworowych, w jaskiniach łatwych.

2. Grupa biwakowa miała bardzo napięty program prac pomiarowo-eksploracyjnych w trudnym terenie wspinaczkowym. Dotychczasowe pobytu pod ziemią miały charakter eksperymentów medyczno-psychologicznych a ludzie poddawani tym eksperymentom na ogół przebywali stale w rejonie swego obozu.

3. Grupa biwakowa zdana była wyłącznie na własne siły, nie miała łączności z powierzchnią i w pierwszym 16-dobowym okresie nie mogła liczyć na wsparcie z powierzchni. Dotychczasowe eksperymenty dysponowały stałą łącznością i wsparciem z powierzchni.

Zespół działający w głębi Jaskini Miętusiej składał się z ludzi o najwyższych kwalifikacjach zarówno pod względem sportowym jak i psychologicznym. Wszyscy uczestnicy wykazywali świetną formę psychiczną i fizyczną. Wyrazem doskonałej adaptacji do warunków tak długiego przebywania w jaskini może być fakt, iż w czasie całego pobytu pod ziemią nie było w grupie nawet drobnych konfliktów. Oceniając naszą akcję jako całość stwierdzić wolno, że zakończyła się ona pełnym pod każdym względem sukcesem i stanowi istotny wkład w osiągnięcia polskiej speleologii i alpinizmu podziemnego.

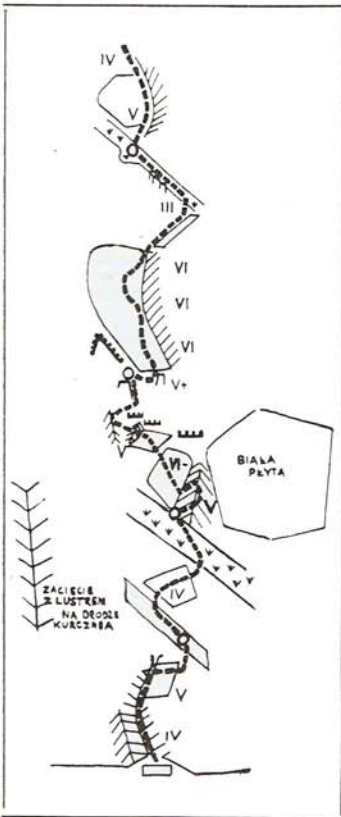
Szablą przez Ucho

W lutym 1976 r. schronisko im. Brnčala nad Zielonym Stawem Kieźmarskim posiadało komplet gości, wśród których Polacy nie stanowili mniejszości narodowościowej. Wyśmienita pogoda i dobre warunki w ścianach sprawiły, że przypuszczano ataki na sławne drogi znajdujące się w najbliższym otoczeniu. Stosowana od pewnego czasu ratalna taktyka w zdobywaniu ścian polega na tym, iż po wyhaczeniu pierwszego wyciągu lub jego części zespół zjeżdża pod wieczór do schroniska, gdzie „kobiety, wino, śpiew”, by następnego dnia lub po upływie kilku dni uszczknąć znowu kawałek ściany i o zmierzchu powrócić do chaty. Tym sposobem w trzydniowej wspinaczce bez biwaków zespół słowacki pokonał „szablą w prawym Uchu”. System to wygodny i bezpieczny, lecz nie bezbłędny, ponieważ niekiedy zaistnieć może zabawne qui pro quo. Nasi, aby nie pozostać w tyle, zaatakowali drogę Chrobaka i Hierzyka na Złotej Turni, z której wycofali się po raz pierwszy 11 lutego, po raz drugi 14 lutego, pozostawiając w ścianie sprzęt i poręczówki. Do-

konawszy „rezerwacji” ściany postanowili poczekać aż mróz zelżeje. Aliści 16 lutego wieczorem jedna z pań dostrzegłszy w ścianie światełko, wdzięcznym okrzykiem „Ależ jajko...” zaalarmowała zainteresowanych. Poruszeni do żywego potencjalni zdobywcy wybiegli przed schronisko. Pomknęły w wygwieżdżoną noc gromkie okrzyki w soczystej mowie polskiej... Ściana nie odpowiadała — migotały tylko latarki sposobiących się do biwaku, które i tak wkrótce pogasły. Zarządzono obławę na sprawców „przestępstwa”, a przygotowania do niej rozpoczęto zbyt swobodnie już o godzinie 2 w nocy, wrywając ze snu nie tylko rodaków (notabene wyrozumiałych), lecz także personel schroniska oraz grupę uczestników kursu narciarstwa turystycznego z Bratysławy. Nagonka nie przyniosła efektów, ponieważ sprzęt ocalał, a liny wisiały na swoim miejscu, zaś to czy były wykorzystane pozostaje tajemnicą dwójki Słowaków, mniej flegmatycznych w rozwiązywaniu problemów tatrzańskich.

Waldemar Betlejewski

NOWE DROGI W TATRACH



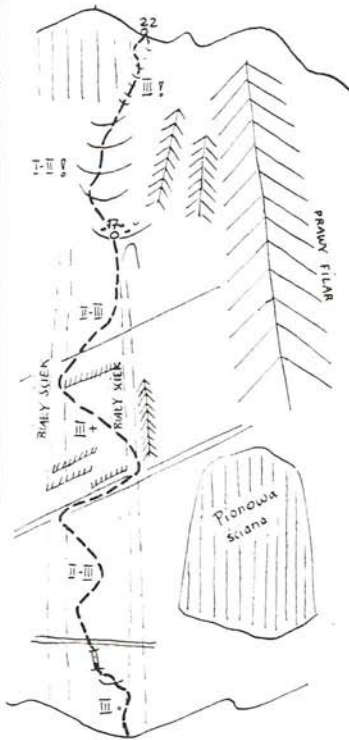
CUBRYNKĄ

I wejście prawą częścią pn.-zach. ściany: Piotr Czok i Jan Wolf, 22 IX 1975. Trudności VI z pomocą 1 haka, 4 godziny. Droga wiedzie pomiędzy drogami Kurczaba (z lewej) i Jankowskiego (z prawej). Szczegóły na rysunku.

J. Wolf

WYJNI POŚREDNI WIERSZYK

Środkiem pn.-wsch. ściany (depresja) — II wejście z nowymi wariantami: Wiesław Krajewski i Andrzej Machnik 18 IX 1975. Dro-



ga wiedzie środkiem depresji, ograniczonej 2 filarami. Linie wyznaczają 2 białe ścieki, z dala widoczne. Skala lita i piękna. Szczegóły na rysunku.

WIELKA WOŁOWA SZCZERBINA

I wejście pn.-wsch. zębem: Grzegorz Chwoła i Piotr Czok, 14 VIII 1975. Trudności V HO, czas I przejścia 3 godziny. Rekonesans pierwszego wyciągu przeprowadził 13 VIII Piotr Czok i Andrzej Michnik.

Wejście w drogę wskazuje płytowe zacięcie znajdujące się około 25 m na prawo od wylotu komina Stanisławskiego. Zachodem Grońskiego podchodzimy do owe-

go zacięcia, którym w górę na trawiaste stopnie wyprowadzające na półkę pod płytowym, lekko przewieszającym się zacięciem (IV). Na półce stanowisko, dalej poprzez zacięcie z którego trawers ok. 3 m w lewo na ostrze żebra (hak jako stopień). Po trawersie obniżamy się z ostrza żebra parę metrów w dół, a następnie idziemy w górę, przechodząc na jego lewą stronę — do wygodnego stanowiska (V HO). Stąd w prawo ponownie na ostrze żebra, którym w górę (IV) na łatwy teren. Następnie teraz i wyciąg łatwym terenem (II—III) — pod drugie spiętrzenie filara (stanowisko pod dużym pochyłym zacięciem). Zacięciem w górę (IV) na półkę pod dobrze urzeźbiony filarek (stanowisko), którym w górę (IV+), po czym trawers w prawo do zacięcia, i nim już na łatwy teren, pozwalający na wspinaczkę z łatwą asekuracją do samej Wielkiej Wołowej Szczerbiny.

P. Czok

RYSY

Droga lewym Żlebem wsch. ściany: Julian Klamerus i Tomasz Czarski 16 II 1976. Trudności V, czas I (?) przejścia 6 godzin.

Żleb ten jest ograniczony z lewej strony lewym zębem wsch. ściany (z drogą WHP 1026), a z prawej — filarem z drogą Nyki i Szurka. Droga prowadzi cały czas prosto żlebem, przez cztery lodospady o wysok. 15, 8, 6 i 45 m. Około 40 m powyżej czwartego lodospadu zwracamy się skośnie w prawo śnieżną depresją na główny wierzchołek Rysów.

NIŻNIA MŁYNARZOWA KOPA

I wejście wsch. filarem południowego wierzchołka: Andrzej Klonowski, Józef Kowal i Andrzej Samolewicz, 18 VIII 1975. Trudności V+, H2, 8 godzin (czas I przejścia 12 godzin).

Filar ma ok. 300 m wysokości i rysuje się wyraźnie ze ścieżki prowadzącej na próg Doliny Ciężkiej. Podejście z Polany pod Wysoką przez mostek na Białej Wodzie — przez las i po olbrzymich mchem porośniętych blokach na trawiaste zbocze pod dolnym obrywem filara. Wejście w ścianę kilka metrów na lewo od olbrzymiego za-

cięcia, ograniczającego filar z lewej strony (drzewo liściaste rosnące w trawiastym kociołku). Lewą ścianę zacięcia tworzy olbrzymia płyta. Wyrażną rysą w górę 40 m do stopni pod odpekniętym blokiem IV. Ze stanowiska do góry przez blok V i trawers w prawo po pochylej płycie pod przewieszoną ścianką. Przez przewieszkę w górę V+ do zacięcia i wyjście na półkę porośniętą kosówką. Przez ściankę trawers w lewo na łatwiejszy teren, którym 3 wyciągi pod górne spiętrzenie filara. Stanowisko na pochylej płycie. Widać stąd po prawej stronie olbrzymi komin spadający z przełączki między oboma wierzchołkami. Ze stanowiska 2 m w górę i trawers w prawo po gzymsie skalnym V, następnie kominkiem w górę i w lewo do płytkiej nży (stanowisko). Teraz w górę 15 m IV (krucho) na pochylą płytę z lustrem tektonicznym pod okapem. Stąd trawers w lewo do żalupy, którą w lewo w górę 6 m na półkę z potrząskanymi blokami. Nad nami duże żółte okapy. Stanowisko. Przez podwieszoną ściankę obniżenie 2 m i trawers w lewo pod dużą jasną płytę. Przez nią 6 m w górę za pomocą szczeliny (V, później H1) na gzyms, którym trawers 5 m w lewo do nży nakrytej dużym okapem (tuż obok poniżej widać pień uschniętej limby). Stanowisko. Z nży w prawo żalupą IV, potem H2 (cien-

kie listki i kołek) na pochylą płytę. Ze stanowiska w prawo gzymsiem na łatwy teren.

MLYNARCZYK

Nowa droga wsch. ścianą między drogami Kowalewskiego i Nyki: Andrzej Klonowski, Józef Kowal i Andrzej Samolewicz 7 VII oraz 27 VIII 1975. Trudności VI H2, 10 godzin.

Wejście w ścianę na prawo od kantu filara ograniczającego z prawej strony komin, w którym biegnie w dolnej części droga Kowalewskiego. Po trawkach i kosówce do wyraźnego trawiastego kociołka podchodzącego pod ścianę już po prawej stronie filara. Tu stanowisko. Zacięciem w górę do małego świerczka (-IV), dalej w prawo przez płytę (V+) do następnego zacięcia pod okapikiem (V). Krok przez żeberko ograniczające zacięcie w prawo na stopień pod olbrzymim zacięciem, którego lewa ściana tworzy płytę z lustrem tektonicznym. Tu stanowisko. Stąd w górę przez blok odstrzelony od ściany — VI a dalej przy pomocy rysy (H1 — kołki, kostki, bongi) 10 m na pochylą płytę z blokami. Po nich w prawo i do góry pod następną rysę, którą 10 m w górę na odstrzeloną płytę — H2. Po płycie 4 m w prawo na półeczkę z lustrem tektonicznym, gdzieś dalej porośniętą trawkami. Półeczką 4 m w lewo na stanowisko pod czerwonałą płytę. Ścianką 4 m w górę i przez

przewieszkę V+ na następną półeczkę, którą w lewo na stopień z krzewem (V), ze stopnia przez podwieszoną ściankę V HO do żalupki, którą do końca na kant filara (widać stąd okap na drodze Kowalewskiego). Ostrzem filara 2 m w górę VI na ogromną płytę porośniętą czarnymi mchami (najtrudniejsze miejsce). Po płycie trawers w prawo na wymyślach na stopienki (stanowisko z dwóch cienkich haków). Dalej w górę 5 m VI i nieco w lewo do wyraźnego zachodzika, którym w lewo i w górę na krawędź filara. Krawędzią 10 m do nży na drodze Kowalewskiego (stanowisko). Stąd przez ściankę w prawo i przez przewieszkę (VI) razem z drogą Kowalewskiego do kominka (III), którym w górę (krucho) i w prawo na płytę. Tu stanowisko (droga Kowalewskiego biegnie dalej w lewo w kierunku olbrzymiej limby). Ze stanowiska w górę po płycie do depresji IV, którą w prawo pod odstrzelony blok — stanowisko. Przez blok w górę i przez przewieszkę V+ do zacięcia. Zacięciem w górę na stanowisko (trawiaste stopnie). Ze stanowiska w prawo do kominka III, którym w górę na dużą trawiastą półkę. Ze stanowiska trawers w lewo po półeczkę do trawiastej depresji, którą w prawo pod trzy olbrzymie limby. Zapieraczką między limbami a podwieszoną ścianką na łatwy teren, którym jeszcze 3 wyciągi na grań i nią w lewo na wierzchołek.

CO NOWEGO W TATRACH

KAZALNICA W SPOŚOB NOWY

Tym kolegom, którzy szukają długich pięknych dróg, chciałbym polecić następujący sposób przejścia północno-wschodniej ściany Kazalnicy: Najpierw ostrogą filara, potem przez ciemne żeberko i od turniczki w górę drogą Momatiuka, to znaczy jej oryginalnym i już rzadko przechodzonym wariantem pierwszych zdobywców. Po właściwych trudnościach drogi Momatiuka i po przejściu jej wariantu prostującego, nie zwracamy się w prawo, w kierunku „wyciąsiowego kominka” i „płytowego proggu”, ale nieco w lewo, pod okapy, które przechodzimy być może nowym wariantem (V+) i docieramy do drogi wiodącej lewym filarem. Zakończenie stanowi odcinek „wprost na siodło w filarze” tej drogi, dziś także rzadko już używany. Całość jest świetną drogą, cały czas zmierzającą mniej więcej w linii prostej. Jest to prawdziwa direttissima tej części ściany. Jedynym łatwym wyciągiem (III) jest odcinek od stanowiska po ciemnym żeberku do turniczki, na wszystkich pozostałych występują praktycznie co najmniej miejsca piątkowe. Co ciekawsze, hakówka na całej drodze ogranicza się do 1 wyciągu, i to niepełnego, a wyższe trudności klasyczne (V+,VI-) rozmieszczone są aż na 8 wyciągach. Cała droga to 16 pełnych wyciągów. Kombinację tę przeszedłem z Mieczysławem Pruszyńskim 19 września 1975 r. w 12 godzin.

Jan Wolf

WIEŚCI OD SĄSIADÓW

Nasi koledzy czechosłowaccy przeszli w Tatrach latem 1975 przeszło 40 nowych dróg, w tym więcej niż 20 dróg o wysokich trudnościach. Oto parę z nich: Oryginalną drogę przez północno-wschodnie urwiska Zółtej Ściany poprowadzili A. Belica i L. Pálenicek w dniu 13 czerwca. Wiedzie ona wprost przez żółte i szare płyty, ma 8 wyciągów, w tym 6 o trudnościach IV+ i V z miejscami HO oraz 1 wyciąg H1. W ciągu lata 1975 zanotowano 2 jej powtórzenia. 28 sierpnia A. Belica wraz z I. Kollerem przeszli nową drogą południowo-wschodnią ścianę Jastrzebiej Turni — prawa częścią płyt, między drogami Pochyłego i Gaływego. Droga ma 5 40-metrowych wyciągów, z których 4 tworzą ciągłe trudności nie niższych niż IV+. Droga została powtórzona przez zespół polski. Nową interesującą drogę wytyczyli I. Koller i P. Kościak na północnej ścianie Gankowej Strażnicy (24 września 1975). Wykazuje ona trudności V+ i H1, a wiedzie między drogami Gierycha i Pawlikowskiego (por. T. 474 s. 164). Przejście zajęło zdobywcom 9 godzin. W dniach 29—31 grudnia 1975 powtórzyli ją A. Belica i I. Koller.

Dwie nowe drogi słowackie przybyły w ostatnich sezonach na północnej ścianie Kaczego Mnicha. 27 lipca 1974 r. Z. Drlík i M. Pelc przeszli — wzmiankowaną już w „Taterniku” — direttissimę (V-, H2, 14 godzin), między drogami AP 39 i 40. Liczy ona 14 wyciągów, z tego 8 o trudnościach nie mniejszych niż IV i 2 wyciągi z długimi odcinka-

mi H1 i H2. W dniach 28 i 29 kwietnia 1975 I. Koller i P. Kościak poprowadzili drogę północną ścianą przez środek ściany prawej turni (V+, HO, 10 godzin). Jest ona krótsza niż poprzednia (10 wyciągów), a z wierzchołka prawej turni widać na szczyt Kaczego Mnicha depresją Sawickiego.

Tadeusz Prezner

ZAKOPIANIE W BIAŁEJ WODZIE

W dniach od 7 do 19 lutego 1976 r. odbył się w Dolinie Białej Wody obóz zimowy Klubu Wysokogórskiego w Zakopanem. Warunki atmosferyczne i wspinaczkowe były przez cały czas bardzo dobre, co znalazło pełne odbicie w wynikach sportowych. Uczestnicy obozu poprowadzili 4 nowe drogi — jedną na wschodniej ścianie Rysów (s. 85) i 3 w otoczeniu dolin Świstowej i Rówienek (zlebami Skrajnej Hrubej Ławki i Średniej Przełęczy oraz prawym żebrem północnej ściany Pośredniej Świstowej Turni). Prawdopodobnie też po raz pierwszy przebyły zostały dolny odcinek zlebu spadającego z Niżniej Młynarzewej Przełęczy. Przejsia północnych ścian Gankowej Strażnicy oraz Wysokiej Świstowej Turni są pierwszymi przejściami zimowymi. Z kilku powtórzeń najwyżej ocenić trzeba przejście komina Łapińskiego i Paszuchy na Gallerii Gankowej (Krzysztof Żurek i Zbigniew Młynarczyk w 10 1/2 godziny). Blizsze szczegóły znajdują się w omówieniu sezonu zimowego 1975—76.

Władysław Cywiński

WROCLAWIANIE W KIEZMARSKIEJ

W dniach od 8 do 22 lutego 1976 odbył się w Dolinie Kieżmarskiej obóz taterników wrocławskich, zorganizowany przez AKA przy współudziale KW we Wrocławiu. W obozie wzięło udział 18 osób: Barbara Bajsarowicz, Zofia Bajsarowicz, Ewa Gorzkowska, Ewa Juszkiewicz, Jolanta Lasota, Krystyna Wilusz, Czesław Bajsarowicz, Tadeusz Bryś, Andrzej Chruściel, Kazimierz Fikus, Lucjan Górski (kierownik), Marian Jargiło, Jacek Klincewicz, Aleksander Lwów, Władysław Prochot, Bogusław Rudzik, Krzysztof Wielicki i Jerzy Wilkoński. Doskonała pogoda umożliwiła odbycie wielu wspinaczek szkoleniowych i wyczynowych. Ciekawsze z nich: to przebycie komina Stanisławskiego w północnej ścianie Małego Kieżmarskiego, drogi tzw. „kantem Kotła” na tej samej ścianie oraz drogi Psotki na północnej ścianie Kopy Kieżmarskiej. Przejście drogi Mátaraya i Rybąńskiego wprost na lewą turnię północnej ściany Małego Kieżmarskiego Szczytu jest prawdopodobnie jej i polskim przejściem zimowym. Ogółem na obozie przebyto 20 dróg.

Lucjan Górski

BIELSZCZANIE NA SŁOWACJI

Klub Wysokogórski z Bielska-Białej zorganizował w okresie od 1 do 19 lutego 1976 r. obóz zimowy w Tatrach Słowackich, w którym wzięło udział 11 osób: Waldemar Betlejewski (kierownik), Ludwik Breitling, Piotr Gałuszka, Andrzej Gagor, Andrzej Georg, Bolesław Janik, Józef Kittner, Kazimierz Plachecki, Henryk Radomski, Czesław Tomasiak i Filip Wańczura. Uczestnicy zakwaterowani byli w schronisku im. Brnčala nad Zielonym Stawem Kieżmarskim. W limitcie dziennym 61 koron od osoby mieścił się nocleg oraz dwa posiłki, tj. śniadanie i kolacja. Przez cały czas trwania obozu utrzymywała się wspaniała pogoda: dni pełne słońca, białe księżycowe noce i siarczysty mróz. W Dolinie Kieżmarskiej, okolonej wieniec wysokich szczytów stanowiących osłonę przed wiatrami zachodnimi i południowymi, pokrywa śnieżna jest na ogół cieńsza niż na pozostałym obszarze Tatr. W ścianach północnych było sporo lodu, śnieg zmrożony i nie związany, wymagający ustawicznego torowania, lawiniasty. Z uwagi na niewielki staż zimowy uczestników obozu, z których 7 znalazło się po raz pierwszy w tym rejonie, zaś dla 2 obóz był

w ogóle debiutem, działalność ograniczono do dróg średnio trudnych, typowo zimowych, umożliwiających obycie z terenem śnieżno-lodowym. Dokonano 44 przejść 21 dróg o łącznym czasie przewodnikowym 168 godzin. Do ciekawszych należą: Jagnięcy Szczyt środkiem północnej ściany, Mały Durny Szczyt północno-wschodnią ścianą (drogą Cermana), Lomnica od północy przez Miedziane Ławki. Osobliwą przygodę przeżył dwuosobowy zespół porwany lawiną pyłową w lewym żebku prowadzącym do Miedzianej Kotlinki. Dwójka przebyła z lawiną przestrzeń ok. 300 m, a kiedy lawina rozmyła się na zbrozu, wydołała się z niej samodzielnie, tracąc jeden z czekanów, którego mimo długotrwałych poszukiwań nie udało się odnaleźć.

Waldemar Betlejewski

TURYSTYKA W TANAP

Stacja Naukowa Dyrekcji TANAP prowadzi m. in. wielokierunkowe badania ankietowe ruchu turystycznego w słowackich Tatrach Wysokich. Część rezultatów tych badań ogłaszają „Wysokie Tatry” w numerze 2/1975. Oto kilka interesujących stwierdzeń. Przeszło 70 proc. zwiedzających Tatry stanowią pracownicy umysłowi, 70 proc. zwiedzających ma wykształcenie średnie, a 16 proc. to studenci. Wśród działań zatrudnienia najwięcej jest pracowników państwowych (28,4 proc.), najmniej — rolników (5,1 proc.). Zdecydowanym prym wiodą mieszkańcy miast (83,9 proc.), 40,8 proc. ogółu turystów stanowią wczasowicze z licznych w uzdrowiskach podtatrzańskich domów wypoczynkowych ROH. Ankietowanym stawiano też pytania odnoszące się do ich stosunku do Tatr, przyrody gór i Tatrzańskiego Parku Narodowego.

MAŁA WIELICKA STRAŻNICA

Odpowiadając na apel Janusza Mączki i Redakcji „Taternika” (T. 2/75 s. 59), pozwałam sobie przesłać następującą informację. Podczas obozu zorganizowanego w Dolinie Wielickiej przez Stołeczny Klub Tatrzański PTTK w lipcu 1969 r., Mała Wielicka Strażnica stanowiła wdzięczny cel wspinaczek w dni pochmurne, gdy niepewna pogoda nie zachęcała do dalszych wypadów. Z pamięci wyłuskuję następujące wejścia: 1. Krzysztof Tatar-kiewicz i Marek Wiśniewski, 20 (?) VII 1969; 2. Wiesław Zieliński i towarzyszy, 21 (?) VII 1969; 3. Piotr Malinowski, 22 VII 1969; 4. Anna Walenta, Piotr Skórzyński (?) i Marek Wiśniewski, 22 VII 1969; 5. Zbigniew Walenta i Leopold Pieczyński, 22 VII 1969. Wejście nr 2 dokonane zostało lewym żebrem zachodniej ściany, a jego trudności oceniono na III. Pozostałe wejścia prowadziły środkiem zachodniej ściany (mniej więcej zgodnie z opisem zamieszczonym w T. 4/70, której trudności według naszych ocen nie przekraczały stopnia II. Czy były to pierwsze wejścia?

Leopold Pieczyński

RAMIĘ KRYWANIA

W „Krásach Slovenska” 7/1975 ukazało się cenne opracowanie ścian Ramienia Krywania od doliny Niefcyrki. Jego autorzy — inżynierowie Ivan Dieksa i Pavol Tarabek — dołączyli się 23 dróg, w tym 6 polskich (3 z lat 1905—1930). Zestawienie przejść uzupełniona bogaty materiał ilustracyjny (5 fotografii z wkręslonymi drogami oraz 8 szkiców), pozwalający uzyskać pełną orientację w stanie eksploracji taternickiej tego interesującego zakątka. Siatki dróg na północnej ścianie Świstowego Szczytu i na południowej ścianie Jaworowego znalazło można w „Krásach Slovenska” 1/1976 s. 49—44.

WYPRAWY W GÓRY EGZOTYCZNE

CHOGOLISA

Jednym z najciekawszych osiągnięć sezonu 1975 w Karakorum było I wejście na główny wierzchołek Chogolisy (7654 m), i to od słabo poznanej strony południowej. Szczyt ten ma kształt trapezu z 900-metrową granią, zakończoną niemal równymi co do wysokości wierzchołkami: północno-wschodnim (ok. 7625 m) i południowo-zachodnim (7654 m). Pierwszy z nich atakował w r. 1957 H. Buhl i na jego grani zginął, a zdobyli go rok później Japończycy tą samą drogą. Zeszłego lata na skraju lodowca Kaberi — 20 km od szczytu! — rozbiła bazę (4200 m) 7-osobowa wyprawa austriacka z Linzu, kierowana przez Edouarda Koblmüllera. Kolejno stawały obozy: I 4500 m, II 5000 m, III 5600 m. Największe trudności napotkano na lodospadzie Kaberi i na 1000-metrowej ścianie pod siodłem 6700 m, na którym rozbito obóz IV. W dniu 1 sierpnia ruszyli stąd 2-kilometrową granią Gustav Ammerer i Fred Pressl i zanoceowali w namiocie szturmowym na wysokości 7000 m, by 2 sierpnia po 12 godzinach drogi osiągnąć dziewięć wierzchołek. Ich sukces powtórzyli po 2 dniach Alois Furtner (zob. T. 2/75 s. 82) i Hilmar Sturm. Treściwe omówienie wyprawy zamieściła OeAZ 11—12/1975.

LAILA ZDOBYTA

Japoński klub wspinaczkowy Hekiryou zorganizował latem 1975 r. wyprawę na znany z pięknej sylwetki szczyt Laila (6986 m) w



Laila widziana z obozu bazowego. Oznaczono kolejne obozy 2, 3, 4 i 5.

Karakorum. Ekipę tworzyli: Ryuichi Babaguchi (lat 28), Michio Enoki (25), Kenjiro Fujioka (34), Tomiyasu Ishikawa (38 — kierownik), Masayoshi Nagaji (24), Eiichi Ohmi (31) i Kozo Sakai (24). W dniu 14 lipca stanął obóz bazowy u czoła lodowca Haramosh (4100 m). W dniach 18 i 21 lipca założono obozy I i II — drugi na grani wschodniej, natrafiono jednak na duże trudności, które zmusiły wyprawę do porzucenia obranej drogi. Atak przeniesiono na ścianę południowo-wschodnią, instalując nową linię obozów: II (5100 m) 1 sierpnia, III (5500 m) 2 sierpnia i IV (5850 m) 5 sierpnia. W 3 dni później stanął obóz V (6400 m). Do tego miejsca droga miała charakter czysto śnieżny, a stok osiągał miejscami stromość 50—70°. 9 sierpnia, po 12 godzinach wspinaczki z obozu V, na wierzchołek weszli R. Babaguchi i K. Sakai.

Mitsuo Hiroshima



Główny wierzchołek Tiricz Miru (7706 m) od strony zachodniej. Z lewej droga czechosłowacka (1963), z prawej — nowa droga włoska (1975). U dołu zdjęcia obóz 3, kółeczkiem oznaczono miejsca biwaków. Reprodukcja z „Rivista Mensile del CAI” 11—12 1975.

DWÓJKĄ NA TIRICZ MIR

Latem 1975 r. w dwuosobowej wyprawie został pokonany zachodni filar głównego wierzchołka Tiricz Mir (7706 m). Wyprawę zorganizowali Włosi Gianni Calcagno i Guido Machetto, członkowie CAAI, którzy wiele wspinali się razem w Alpach robiąc pierwsze wejścia letnie i zimowe. Do bazy (4800 m) doprowadziło ich 6 tragarzy, z których dwóch zatrzymali na kilka dni. Na wysokości 5800 m założyli obóz I, a u stóp Dirgol Zom — obóz II (6600 m). W dniach 8—11 sierpnia weszli na szczyt drogą czechosłowacką z r. 1963, nocując w obu obozach i biwakując na wysokości 7200 m. Atak na filar przypuścili 23 sierpnia. Po zaporeczowaniu 500 m ściany wrócili do obozu III, skąd nazajutrz ruszyli ponownie w górę i po biwaku na wysokości

7200 m w dniu 25 sierpnia w południe stanęli po raz drugi na wierzchołku Tiricz Mira. „La via degli Italiani” ma szereg odcinków IV i V stopnia trudności. Pogoda była dobra, wspinaczom dokuczały jednak niezwykle mroźne wiatry. Przypomnijmy, że w dniu 16 sierpnia 1974 r. Guido Machetto w towarzystwie Beppe Re wszedł jako pierwszy na wierzchołek Tiricz Mir II (7480 m), przy czym była to również wyprawa dwuosobowa.

DWÓJKĄ NA NOSZAK

Erika Schrom z Innsbrucka wybrała się latem 1974 r. w towarzystwie brata w Hinduksuz Wysoki. Po założeniu 2 obozów, 15 sierpnia stanęli oboje na wierzchołku Noszaka (7492 m). Nie korzystali z pomocy tragarzy wysokościowych i wszystkie prace powyżej bazy wykonali samodzielnie. Do stóp Hinduksuzu dotarli samochodem osobowym. Erika przyznała, że w dorobku nie ma większych osiągnięć alpinistycznych o charakterze sportowym. Zauważmy, że nawet przy błahym wypadku dwuosobowy zespół mógłby się okazać całkowicie bezradny.

DOKĄD SIĘGA PAMIR?

Tom 16 periodyku „Strany i narody Wostoka” (Moskwa 1975) zawiera ciekawy artykuł L. F. Sidorowa o geograficznych granicach Pamiru. Autor przypomina, że XIX-wieczni badacze uważali za właściwy Pamir — i słusznie — krainę zwaną dzisiaj Pamirem Wschodnim, natomiast Pamir Zachodni, obejmujący też łańcuchy górskie, w których wznoszą się najwyższe szczyty ZSRR, stanowi de facto część Badachschanu. Między Badachschanem a właściwym Pamirem łatwo przeprowadzić wyraźną granicę geograficzną, przyrodniczą, a także etniczną: w Badachschanie żyją Tadżycy i inne ludy irańskie, w Pamirze zaś Kirgizi, mówiący językiem z grupy tureckiej. Wywody te uderzają logiką, zbytnią śmiałością byłoby jednak oczekiwać, iż powszechna świadomość odrębności obu regionów spowoduje zarzucenie zakorzenionego, utrwalonego w różnych środowiskach nawyku nazewnictwa. Bądźmy więc spokojni — Pik Kommunizma nadal pozostanie w Pamirze (Zachodnim).

Maciej Popko

ALPINIZM I NAUKA

Zbigniew Jaworowski kontynuuje swoje naukowe wyprawy na lodowce różnych kontynentów, by z ich warstw odczytywać stopień narastania zanieczyszczenia atmosfery ziemskiej. Od 18 stycznia do 11 lutego 1975 r. wyprawa w składzie Krzysztof Cielecki, Andrzej Gierych, Zbigniew Jaworowski (kierownik), Zbigniew Krysa, Maciej Kuczyński

i Wiesław Maczek pracowała w Ruwenzori w Afryce. Członkowie ekipy dokonali paru wejść: 22 stycznia zwykłą drogą na Szczyt Aleksandry (Cielecki i Gierych); 8 lutego — zwykłą drogą na Szczyt Margherity (Cielecki, Gierych, Jaworowski i Krysa wraz z Krystyną Konopką z wyprawy śląskiej). Tego samego dnia Krystyna Konopka wraz z Krzysztofem Cieleckim przebyli grań od Szczytu Margherity do Szczytów Alberta i Aleksandry, schodząc zwyczajną drogą na Plateau Stanleya. W marcu (statek) i kwietniu (samolot) 1976 r. wyruszyła kolejna wyprawa — tym razem w Andy Peruwiańskie (Stanisław Biel, Krzysztof Cielecki, Jerzy Honowski, Zbigniew Jaworowski — kierownik, Zbigniew Krysa i Wiesław Maczek). Na miejscu dołączył się do niej Adam Zyzak.

Krzysztof Cielecki

ACONCAGUA WCIAŻ GROŻNA

W bydgoskim „Dzienniku Wieczornym” z 3 września 1975 r. ukazała się notatka, którą dla rozweselenia warto przytoczyć w całości: „Szczyt góry Aconkagua w Andach nie został dotychczas zdobyty przez alpinistów, choć pod względem wysokości znajduje się dopiero na 43 miejscu na świecie. Dostęp na szczyt nie jest zbyt skomplikowany, ale alpinści ulegają na trasie zaburzeniom serca i halucynacjom. W wyniku tego ostatnia wyprawa sprzed dwóch lat zakończyła się tragicznie. Z 5-osobowej grupy amerykańskich śmiarków żaden nie dotarł na szczyt. Dwóch przepięciło wycieczkę życiem, pozostali zaś w stanie skrajnego wyczerpania zostali zniesieni z trasy przez pogotowie górskie.”

ROZMAITOŚCI

☆ W podsumowaniu czechosłowackiego roku górskiego 1975 jedno z najwyższych miejsc przyznano nowej drodze na Pik Lenina w Pamirze — północnym filarem na wschodnią grań i dalej na szczyt: Z. Drlík, M. Kriššák, I. Novák, V. Petrik, P. Schnábel, J. Šmid (tylko do końca filara), S. Talla i L. Zéchoransky 27—29 lipca 1975.

☆ W numerze 4/1975 na s. 182 zamieściliśmy informację o wejściu kilku grup uczestników 34-osobowej wycieczki firmy Max Eiselin na Tiricz Mir (7706 m). Oto kilka dalszych szczegółów: wejście dokonano w dniach 27—31 lipca 1975, drogą czechosłowacką. Na szczycie stanęło nie 17, lecz 18 osób, w tym w dniu 30 lipca dwie panie: Niemka Hannelore Schmatz i Szwajcarka Hanna Müller. Jest to ładne osiągnięcie alpinizmu kobiecego — jeszcze parę lat temu mówiło by się o rekordzie...

☆ „A Patagonia Handbook” — to tytuł książki napisanej przez dwóch uczestników

nieudanej Anglo-American Patagonia Expedition 1974. Jest to omówienie wyprawy, głównie jednak informator i poradnik dla przyszłych amatorów patagońskich wichrów i zamieci. Autorzy: Ben Campbell-Kelly i Brian Wyvill.

☆ Anglicy Steve Chadwick i Keith Myhill przeszli latem 1975 słynną ścianę południową szczytu Ingolfssjeld, wznoszącego się w obramieniu lodowca Francja, biorącego początek w masywie Mount Forel w południowo-wschodniej Grenlandii. Ściana jest wyższa i trudniejsza od muru Trollveggen, a nowa droga należy do największych wspinaczek skalnych naszych czasów.

☆ „Shisparé v Karakorum (7619 m)” — to tytuł artykułu redakcyjnego o polsko-niemieckiej wyprawie, zamieszczonego w „Plainskim Vestniku” 3/1976. Węgierski „Turista magazin” w numerach 1 i 2/1976 szeroko omawia przebieg polskiej wyprawy zimowej na Lhotse.

☆ Naukowa wyprawa austriacka „Exploration Pamir 75” przeprowadziła kompleksowe badania afgańskiej części Pamiru. Wykonano m. in. zdjęcia kartograficzne, które posłużą do sporządzenia mapy 1:25 000 — przy pomiarach zdobyto kilka 6-tysięczników. Na wysokości 4500 m odkryto interesujące ryciny naskalne.

☆ Baturę (7785 m) w Karakorum atakuje w tym roku Göppinger Himalaya-Karako-

rum-Expedition, zorganizowana przez Sektion Hohenstaufen-Göppingen DAV z okazji 75-lecia jej istnienia. Wyprawą kieruje Alexander Schlee, a w skład 6-osobowej ekipy wchodzi m. in. Martin Albanus i Hubert Bleicher, którzy rejon poznali w r. 1974, jako członkowie polsko-niemieckiej wyprawy na Shisparé. Wiadomość pochodzi od M. Albanusa, a przekazał ją nam Mirosław Dąbrowski.

☆ W zeszytach 2 i 3/1975 miesięcznika „Plainski Vestnik” ukazały się materiały (z mapkami) z III Jugosłowiańskiej Wyprawy w Andy Peruwiańskie. Nie osiągnęła ona wyróżniających się wyników (wejścia na Pisco, Chacaraju, Yanama, Chopalqui). Wyprawą kierował 48-letni Sandi Blažina, który był już w Andach w r. 1964.

☆ W Londynie opublikowano zdjęcia śladów człowieka śnieżnego z... Ameryki Południowej. Wykonał je alpinista angielski Steven Read w Patagonii Południowej, na wysokości zaledwie 2000 m. Odciski stóp mają średnicę 10—15 cm. (A. Janik)

☆ Z niezwykłą starannością przygotowują Bułgarzy swoją narodową wyprawę na Nozszak (7492 m). Na schyłku zimy w ośrodku „Malowica” odbył się obóz treningowo-selekcyjny z rozległym programem szkoleniowym. Wykłady o geografii Hindukuszu wygłosił prof. Martin Głównia, zaś o problemach społecznych Afganistanu — były ambasador Bułgarii w tym kraju, Iwan Karazakov.

JASKINIE I SPELEOLOGIA

Ogof Ffynnon Ddu

W Południowej Walii, w hrabstwie Breconshire, leży najdłuższa (ok. 40 km) i zarazem najgłębsza (przeszło 300 m) jaskinia brytyjska — Ogof Ffynnon Ddu (Jaskinia Czarnego Źródła, nr inw. 22/848153). Przepływa przez nią kilka potoków, tworzących liczne jeziora i wodospady. W dniu 3 maja 1975 r. dokonałem przejścia głównego ciągu tej jaskini (do „dna”) w towarzystwie pięciu członków Eidon Pothole Club oraz Derbyshire Caving Club (Paul Deakin, Alan Gamble, Noel Christopher, Dave Gill i John New). Jaskinie wodne tego typu przebywają Brytyjczycy w tzw. kombinizonach mokrych, szytych na miarę z „pianki”, a wdziewanych na gołe ciało. Niska temperatura wody powoduje konieczność bardzo szybkiego przejścia, toteż jaskinię pokonałszy niemal biegiem, w czasie około 9 godzin.

Christian Parma

Kyzył-Koba

W listopadzie 1975 r. działała w jaskini Kyzył-Koba (Czerwona Jaskinia) na Krymie 4-osobowa polska wyprawa w składzie: Zbigniew Kacuga, Henryk Natkaniec, Christian Parma i Tadeusz Rojek (kierownik). Jaskinia ta jeszcze do niedawna uważana była za najtrudniejszą w Związku Radzieckim, a ze swoją długością przeszło 13 km jest najdłuższą w tym kraju jaskinią rozwiniętą w wapieniach. Po raz pierwszy wzmiankowana była w połowie ubiegłego stulecia przez Szwajcara Dubois de Montpereux, a celem poważnych badań speleologicznych stała się od połowy lat pięćdziesiątych. W przejściu głównego ciągu (ok. 6 km) towarzyszyli nam członkowie Sekcji Speleologicznej „Krym — 550”: G. Pantuchin, P. Pietrow, S. Jewdokimow, W. Mielnikow i O. Czurin. Zaopatrzeni w gumowe wodoszczelne kombinizony (tzw. suche), nurkując pokonałszy pierwszy syfon a następnie wpływ z worami transportowymi niezli-

czoną ilość jezior i jezierek. Akcja w głąb jaskini odbywała się „pod prąd” potoku, a popisy pływackie urozmaicone były wspinaczkami na progi i kaskady. Przejście zajęło nam ok. 14 godzin, przy czym, jak się okazało, byliśmy pierwszymi obcokrajowcami za pierwszym syfonem (tzn. za pierwszą przeszkodą).

Wyprawa dokonała również przejścia do dna jaskini Emine-Bair-Chosar (—135 m), leżącej na tzw. Niżnym Plateau Czatyrdaga.

Christian Parma

Sensacyjne znaleziska

Badana systematycznie od r. 1960, jaskinia Bezdanjača pod Vatinovcem (inaczej Horvatova špilja) w Chorwacji ma 1176 m długości i 200,5 m głębokości (nie licząc odkryć z r. 1975). Jej osobliwością są znalezione w jednym z ciągów cementarzysta z epoki środkowego brązu — z ok. 200 szkieletami i dobrze zachowanymi zabytkami ruchomymi, takimi jak broń, narzędzia (sierpy, siekiera), ozdoby, ceramika, a nawet szczątki wyrobów z drewna. Grotołazi ze Speleološko društvo Hrvatske zastali w niej kości ludzkie przemieszane, żaden ze szkieletów nie tworzył całości. W pewnych okresach jaskinia mogła też służyć za schronienie, o czym świadczą wygładzenia na ścianach i dnach korytarzy. W druku jest monografia tego cennego obiektu (autorzy: dr Mirko Malez i prof. Ružica Drechsler-Bižić).

Nowinki spod ziemi

☆ 1 listopada 1975 r. grupa grotołazów z Lionu odkryła połączenie pomiędzy Gouffre Jean-Bernard i leżącą wyżej Gouffre B. 19. Powstały w ten sposób system z głębokością 1208 m zajął drugie miejsce na liście najgłębszych jaskiń świata. (Ch. Parma)

☆ Latem 1975 speleolodzy austriacy i Niemcy przeprowadzili dużą akcję eksploracyjną obszaru gór Steinernes Meer. Odkryto przeszło 20 jaskiń, z których większość opracowano kartometrycznie. Badacze zaskoczyły ślady dawniejszych — całkowicie nieznanymi — przejść niektórych jaskiń, i to do znacznych głębokości.

☆ Dwumiesięcznik „Vertex”, organ Federacji Catalane de Muntanyisme, zamieszcza w numerze 38(1974) artykuł o 3-osobowej wyprawie speleologicznej „a l'alta conca de l'Amazones (Peru)”. W jednej z jaskiń miano osiągnąć głębokość 400 m.

☆ Skorygowania wymagają informacje o jaskini Pierre Saint Martin, podane w T. 4/75 na s. 162. Otóż 10 sierpnia 1975 r. zespół francuski wyszukał połączenie między Pierre St. Martin a dawniej odkrytą jaskinią M.3, której otwór (1984 m n.p.m.) leży o 102 m wyżej, aniżeli otwór Tête Sauvage. W 13 dni później dwaj Anglicy odkryli na wysokości 2043 m n.p.m. nowy otwór. Razem z grupą grotołazów amerykańskich połączyli oni tę jaskinię z Pierre Saint Martin. Nowy, najwyższy otwór leży 161 m ponad Tête Sauvage, co daje łączną głębokość systemu 1332 m. (Ch. Parma)

WIEŚCI ORGANIZACYJNE

KRONIKA PZA 4/75 i 1/76

17 grudnia 1975 — odpływa wyprawa KTJ do Wenezueli. Kierownik Maciej Kuczyński.

31 grudnia 1975 — wiadomość z Ambasady Pakistanu o udzieleniu PZA zezwolenia na atakowanie K2.

13 stycznia 1976 — Zarząd PZA mianuje Jana Serafina przewodniczącym swej Komisji Lekarskiej. PZA postanawia poprzeć udział Wandy Rutkiewicz i Danuty Wach w międzynarodowej wyprawie organizowanej przez Karla Herrligkoffera na Nanga Parbat.

31 stycznia — 1 lutego — udział Antoniego Janika w posiedzeniu Komisji Organizacyjnej UIAA w Genewie.

3 lutego — zatwierdzenie składu ekipy na K2.

12 lutego — wyjazd do Chamoinix ekipy na Petit Dru. Kierownik Zbigniew Wach (szczegóły w części artykułowej).

22 lutego — zebranie prezesów klubów i sekcji zrzeszonych w PZA (zob. T. 1/76 s. 41).

27 lutego — 21 marca — pobyt w Polsce Petera Boardmana (artykuł w numerze).

28 lutego — 14 marca — obóz sportowy krajów socjalistycznych przy Morskim oku z udziałem 4 Anglików. Kierownik Roman Bekbak.

2—8 marca — Jerzy Łabecki, Zbigniew Dudrak, Bogusław Strzelski, Ryszard Urbanik i Jerzy Zajac (AKA Kraków) dokonują i zimowego przejścia Wielkiego Zacięcia na południowej ścianie Marmolaty w Dolomitach.

5—7 marca — konferencja zrzeszeń alpinistycznych krajów socjalistycznych w Zakopanem (informacja obok).

17—18 marca — przyjęcia w British Council i Ambasadzie Wielkiej Brytanii w związku z wizytą Boardmana.

HANNA WIKTOROWSKA

SĄSIEDZKA WSPÓLPRACA

Miejschem dorocznej narady przedstawicieli organizacji alpin-

istycznych krajów socjalistycznych było tym razem Zakopane. W nardzie (5—7 marca) wzięły udział delegacje 6 krajów: Bułgarii (I. Kostow, P. Tomow), CSRS (T. Surka, M. Lasak) NRD (F. Leder, R. Schille), Polski (A. Paczkowski, S. Kuliński, A. Janik, J. Koissar, H. Wiktorowska), Rumunii (M. Schenn, I. Giurculescu), Węgier (H. Buesek, G. Rohaly) i ZSRR (M. Anufrikow). Omówiono kalendarz imprez na rok 1977 oraz szereg wspólnych problemów bieżących, przedyskutowano też kilka nowych inicjatyw. Na wniosek strony polskiej postanowiono zorganizować seminarium o tematyce wyprawowej, złożone z 2 części: teoretycznej (przygotuje ją PZA w zimie 1976-77) oraz praktycznej (przygotuje Federacja Alpinizmu ZSRR latem 1977 r. w Pamirze). Delegacja PZA przedstawiła też propozycję podjęcia wspólnych prac w dziedzinie medycyny wysokogórskiej, a w dalszej perspektywie doprowadzenia do utworzenia Komisji Lekarskiej w imieniu UIAA. Dużo uwagi poświęcono sprawom sprzętu alpinistycznego,

koordynację wspólnych poczynań powierzając Czechosłowacji. Jednym z tematów narady były też zawody skałkowe, które wszystkie delegacje uznały za istotne narzędzie podnoszenia kwalifikacji wspinaczy, a także za dziedzinę aktywności górskiej, wartej wyodrębnienia w osobną dyscyplinę sportu. Naradę zakopiańską prowadził prezes PZA, Andrzej Paczkowski.

KOMISJA SPORTOWA

W dniu 3 kwietnia 1976 odbyło się plenarne zebranie Komisji Sportowej PZA, któremu przewodniczył Stanisław Kuliński. Wyznaczono kandydatów na centralne wyjazdy letnie (Alpy, Kaukaz, Pamir), rozważano też problem wspinaczek samotnych w Tatrach — dochodząc do wniosku, że popieranie tego rodzaju działalności nie leży w interesie PZA.

PERSONALNE

★ 80 lat ukończył Paul Bauer, kierownik słynnych wypraw w Kaukaz (1928) i w rejon Kangchendzongi (1929, 1931). Jest on z zawodu notariuszem i mieszka w własnym domu na skraju Monachium.

★ 85 lat ukończył dr Kazimierz Sayss-Tobiczyk. Oprócz historii alpinizmu polskiego pt. „W górach wysokich” (praca zbiorowa), ma on obecnie w stadium pisania bądź druku około 8 dużych dzieł tekstowo-illustracyjnych, z których 6 dotyczy ochrony środowiska naturalnego. Serdecznie gratulujemy!

★ Zasłużony mistrz sportu i zastępowy trener ZSRR, a także członek honorowy PZA, Witalij M. Abalakow, ukończył w tym roku 70 lat i z tej okazji odznaczony został Odznaką za Zasługi w Rozwoju Kultury Fizycznej i Sportu. 70 lat kończy również znana alpi-



nistka radziecka, zasłużona mistrzyni sportu, Walentina P. Cziedradowa.

★ Laureatem dorocznej nagrody PAN w dziedzinie geografii został wrocławski speleolog i badacz jaskiń Tatr, Marian Pulina. Znany taternik z Wrocławia, Tadeusz Zipser, otrzymał tytuł profesora nadzwyczajnego na Politechnice Wrocławskiej.

★ 31 marca 1976 r. w Zakopanem został zamordowany naczelnik Grupy Tatrzańskiej GOPR, Tadeusz Ewy (s. 93). O dokonanie zabójstwa oskarżony jest Zdzisław Prusisz. Obowiązki naczelnika GT pełni obecnie Stanisław Janik a jego zastępcami są Michał Gajewski oraz Maciej Gąsienica.

★ Christian Bonington ukończył książkę o swej wyprawie na ścianę Everestu. Królowa brytyjska mianowała go komandorem Empire Order — jednego z najwyższych odznaczeń Commonwealthu.

★ Komitet Wykonawczy UIAA na posiedzeniu w Genewie (3

kwietnia 1976) postanowił zalecić najbliższemu Walnemu Zgromadzeniu wybór nowego prezesa w osobie dotychczasowego sekretarza tej organizacji, Pierra Bossusa, czynnego alpinisty i autora przewodników alpejskich.

★ Brytyjskie czasopisma z dumą odnotowują udział Alison Chadwick-Onyszkiewicz w I wejściu na *the world's highest virgin summit*, Gasherbrum III. W dniu 14 kwietnia Alison wygłosiła odczyt o wyprawie w ekskluzywnym Alpine Club w Londynie, którego jest członkiem.

★ Tournée odczytowe po ośrodkach alpinistycznych NRD odbyła w kwietniu 1976 Wanda Rutkiewicz. Szczególnie uroczystą oprawę miały jej dwie prelekcje w Dreźnie, z których każda ściągnęła po przeszło 1000 słuchaczy.

★ 70 lat nieprzerwanego chodzenia po górach ma za sobą Theodor Kub z Wiednia. Mimo 86 lat uczestniczy w wycieczkach OeTK w bliższe rejony górskie, pełni też z oddaniem obowiązki społecznego strażnika ochrony przyrody w Wiener Wald i jego górach.

ERRATA

W numerze 4/1975 podpis pod zdjęciem na s. 149 winien brzmieć: Widok z Małego Lodowego na Jaworowe Szczyty i dalej ku zachodowi. Na s. 160 prosimy wręcić poprawkę do tekstu w szpalcie prawej: narty zrzuczone ze śmigłowca odnaleźli nie Głazek i Milewski, lecz pozostali członkowie grupy polskiej. Na s. 182 w dolnym wierszu szpalty lewej oczywiście Gasherbrum III. Marian Krawczyk i Ryszard Malczyk zwrócili uwagę, że przejście drogi Kiełkowskiego na ścianie Raptawickiej Turni, w T. 3/74 s. 100 określone jako II zimowem, było co najmniej IV zimowem, a II i III odnotował „Taternik” w numerze 3/1969 na s. 104.

POŻEGNANIA



STANISŁAW
LATAŁŁO

Urodził się 30 marca 1945 r. w Białce Tatrzańskiej. Od młodych lat z zapałem jeździł na nartach i wchodził się po górach. Podczas studiów w PWSTiF w Łodzi zaczął się wspinąć i chodzić po jaskiniach. Wziął udział w wyprawie do Jaskini Czarnej, która podjęła próbę przekopania tzw. „Colorado”. W lecie 1965 r. wspiął się w Tatrach z Piotrem Wojciechowskim (m.in. Żabi Koń, Wołowy Grzbiet). Później zabrakło mu na to czasu. Podjął pracę w Wytwórni Filmów Dokumentalnych, równocześnie kończąc studia. Tematy górskie pojawiały się w jego pracach filmowych (Kronika Filmowa). Jako operator nakręcił dwa filmy animowane — „Sznur” i „Sam so-

bie sterem" oraz film popularno-naukowy „Kostium i maska” (dwa ostatnie realizowała jego matka, Katarzyna Latałło). W obu filmach animowanych zastosował oryginalną metodę zdjęć barwnych. Zrealizowana przez niego etiuda „Święta Rodzina” została włączona przez Konwickiego do filmu „Jak daleko stąd, jak blisko”. W r. 1972 został zaangażowany jako operator do filmu Zanussiego „Iluminacja”, w którym zupełnie niespodziewanie zagrał rolę głównego bohatera — Franciszka. Z tej roli znany jest szerokiej publiczności, a szczególnie taternikom, jako że jeden z epizodów tego filmu rozgrywa się w środowisku taternickim nad Morskim Okiem. W czasie przerwy w zdjęciach Staszek ze swoim partnerem ze wspinaczki na filmie, Jackiej Petryckim, przeszedł drogę klasyczną na Mnichu. Obaj wzięli też później udział w zejściu do II biwaku w Jaskini Śnieżnej — podczas przygotowań do filmu Zajączkowskiego „Ośmy kontynent”. W latach 1973—74 w zespole „X”, prowadzonym przez Wajdę, Staszek zrealizował dwa wysoko ocenione przez krytykę filmy telewizyjne — „Listy naszych czytelników” i „Pozwólcie nam fruwać nad ogrodami”. Pociągała go reżyseria i miał w związku z tym ciekawe plany filmowe, odłożył je jednak natychmiast, gdy zaproponowano mu, aby wziął udział w wyprawie w Himalaje jako operator.

Mimo, że po raz pierwszy znalazł się w górach lodowcowych i nie miał większego doświadczenia alpinistycznego, dzięki ogromnemu zapalowi a także predyspozycjom fizycznym i psychicznym, od początku radził sobie dobrze z trudnościami i niebezpieczeństwami drogi na Lhotse. Zawsze był gotów do wyjścia o każdy kilogram, Staszek bez słowa pakował do swojego plecaka nie tylko normalny ładunek alpinisty, ale dodatkowo jeszcze ciężki sprzęt filmowy. Nigdy nie unikał uciążliwych prac w bazie i górnych obozach. Godził to, wydawałoby się bez wysiłku, z obowiązkami operatora, które wykonywał z tym większym zapalem, im trudniejsze były warunki i im bardziej byliśmy wszyscy zmęczeni. Imponował nam zaangażowaniem w rozwój wyprawy i wiarą w sukces. Po tygodniach działalności w najwyższych górach świata miał za sobą ok. 150 godzin wędrówek i wspinaczek na lodowcu Khumbu, w tym 23 noclegi w obozach I—III, oraz sumę ok. 6000 m pokonanej różnicy wzniesień. W Himalajach stał się alpinistą i bardzo chciał tę działalność kontynuować.

Podczas ostatniego wyjścia w góry zatrzymaliśmy się ze Staszkiem w obozie I. Trzeciego dnia wieczorem wśród wycia wiatru usłyszeliśmy „dzwoneczki anielskie”, takie jak w jego filmie „Listy naszych czytelników”. Czy mogłam przypuszczać, że dzwonią dla Staszka? 17 grudnia 1974 r. zginął na wysokości 7000 m w zejściu z obozu III, podczas kolejnego nasilenia himalajskiej wichury.

Anna Okopińska



TADEUSZ EWY

W dniu 1 kwietnia 1976 r. zginął tragicznie w Zakopanem mgr inż. Tadeusz Ewy — naczelnik Grupy Tatrzańskiej Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. Urodził się 12 maja 1942 r. w Nisku, następnie do roku 1960 zamieszkiwał wraz z rodzicami w Bogatyni, gdzie ukończył szkołę podstawową i średnią. W latach 1960—1965 studiował na Wydziale Melioracji Wodnych Wyższej Szkoły Rolniczej w Krakowie. W tym okresie prowadził niezwykle aktywną działalność w Radzie Uczelnianej i Okręgowej ZSP oraz w Studenckim Kole Przewodników Górskich. W r. 1961 zaczął czynnie uprawiać taternictwo powierzchniowe i jaskiniowe w Kole Zakopiańskim KW, biorąc między innymi udział w pierwszej zimowej wyprawie do Jaskini Śnieżnej. Znał bardzo dobrze wszystkie ważniejsze grupy górskie Polski, wielokrotnie prowadził obozy w Tatrach Polskich i Słowackich oraz rajdy i inne imprezy turystyczne w pozostałych grupach górskich.

W 1963 r. związał się z Grupą Tatrzańską GOPR. Po ukończeniu studiów w 1965 r. i uzyskaniu tytułu magistra inżyniera (ze specjalnością „zabudowa potoków górskich”) przeniósł się na stałe do Zakopanego. Tutaj odbył staż w swoim zawodzie i pracował przez jeden sezon jako strażnik narciarski w Grupie Tatrzańskiej GOPR, a w latach 1963—1973 wraz z rodziną żony (Barbary Cybulskiej, córki Jana Cybulskiego, byłego kierownika GOPR) prowadził schronisko w Roztoce. Jako długoletni już wtedy działacz partyjny, w kwietniu 1973 r. został powołany do pracy w Komitecie Miejskim PZPR w Zakopanem. Z dniem 1 listopada 1974 r. objął stanowisko naczelnika Grupy Tatrzańskiej GOPR, które z wielkim zaangażowaniem piastował do ostatnich chwil życia. Uczestniczył łącznie w ok. 70 wyprawach ratunkowych, z których wieloma kierował osobiście, zwiózł z gór 50 kontuzjowanych narciarzy. Był przewodnikiem tatrzańskim II klasy. W r. 1967 brał udział w wyjeździe PKG w Kaukaz Centralny, gdzie m.in. wszedł na obydwa wierzchołki Elbrusa. Znał świetnie Tatry, przeszedł kilkadziesiąt popularnych dróg wspinaczkowych. Za swą społeczną działalność odznaczony był złotą i srebrną odznaką PTTK oraz srebrną honorową odznaką GOPR.

W okolicznościach tragicznych odszedł od nas na zawsze Tadeusz Ewy — człowiek, który większą część swego młodego życia związał z górami, a ratownictwu górskiemu zamierzał oddać swe zdolności i wiek dojrzały.

Michał Jagiełło i Jan Komornicki

JOZA COP

Urodził się w r. 1893 — tym samym, w którym powstało Slovensko planinsko društvo. Zmarł latem 1975 r. jako nestor słoweńskich alpinistów, turystów i ratowników górskich. Już przed pierwszą wojną światową wszedł w skład „złotego zespołu” Słowenii. Alpinizm wyczynowy uprawiał przez przeszło 30 lat — przebył w tym czasie dziesiątki najtrudniejszych dróg w górach Jugosławii, w tym ok. 30 jako pierwszy. Niejedną z nich — jak Copov steber w ścianie Triglavu (1945 r.) — nosi dzisiaj jego imię. Jako jeden z pierwszych zaczął uprawiać alpinizm zimowy na Jalovcu, Skrlaticy (założoną ścianą północną), Rozorze, Kotovej Špicy i wielu innych szczytach. Nie były mu też obce Alpy — Matterhorn (1931), południowa ściana La Meije (1937), Mont Blanc (1939), Dolomity (kilka wyjazdów). Od r. 1922 pełnił ofiarną służbę ratowniczą, kierując setkami wypraw. W czasie I wojny światowej walczył w Karawankach, w czasie II — włączył się do roboty konspiracyjnej. Aresztowany w kwietniu 1941 r., został zwolniony na interwencję Niemca z Triestu, dra Juliusa Kugyego, słynnego alpinisty i pisarza górskiego. Miał liczne odznaczenia sportowe i państwowe — z Orde-

rem Zasługi dla Narodu ze Złotą Gwiazdą włącznie. Nad grobem pożegnał go jego długoletni przyjaciel i partner, dziś prezes PZS, Miha Potočnik.

ZMARLI

Podczas samotnego przejścia północnej ściany Serles poniósł śmierć znany wiedeński solista, Ernst Lehnert. Wspinając się 20 lat, poznał on większość słynnych dróg Alp, niektóre ściany, jak południową Marmolaty czy północno-zachodnią Civetty, miał obchodzone kompletnie. W ciągu całej swej kariery miał tylko 3 odpadnięcia — wszystkie wskutek zawierzenia starym, źle tkwiącym hakom. 27 czerwca 1975 r. odpadł po raz czwarty — tym razem był bez liny...

Jesienią 1975 r. zmarł w Zakopanem Stanisław Gąsienica Sieczka. Jako zawodnik „Sokola” był on pierwszym rekordzistą Wielkiej Krokwi (36 m — 22 marca 1925), uczestniczył też w igrzyskach olimpijskich 1928 r. Był pisarzem ludowym, a aktorskie talenty wykazał w filmie „Biały ślad” Adama Krzeptowskiego. Sylwetkę zmarłego przypomniał „Tatrzański Orzeł” w numerze zimowym 1975—76.

W Genewie zmarła pod koniec zimy 1976 r. popularna przed wojną malarka, Zofia (z Lubańskich) Stryjeńska. Urodzona w r. 1894, była żoną Karola Stryjeńskiego, z którym w latach dwudziestych mieszkała w Zakopanem. W swych pracach malarskich i ilustratorskich często sięgała do motywów górskich, zwykle rzucanych na stylizowane tło Tatr.

Z TATR I ZAKOPANEGO

● Rada Trenerów HZ UV CSZTV za najlepsze przejście tatrzańskie swojej kadry w r. 1975 uznała nową drogę prawym filarem północno-wschodniej ściany Wielkiej Jaworowej Turni (L. Páleníček, J. Stejskal i V. Tatarka 16—18 i 24—25 lutego 1975, V H2). Droga ta stanowi właściwe rozwiązanie filara, którego przełamanie stara polska droga obchodziła bokiem.

● Zakopanemu przybyła nowa placówka kulturalna: w dniu 6 marca 1976 odbyła się otwarcie Muzeum Karola Szymanowskiego w wyremontowanej „Atnie”. Powstało ono w wyniku akcji społecznej, która objęła cały kraj. Scenariusz opracowała Teresa Chylińska z Krakowa.

● Z dniem 25 kwietnia 1976 r. otwarta została w Muzeum Lenina w Poroninie nowa ekspozycja, szerzej uwzględniająca problemy, którymi Lenin zajmował się w czasie pobytu w Krakowie i na Podhalu. Zgromadzono szereg nowych dokumentów i ekspozatów.

● Wznosząca się w masywie Wielkiej Turni wapienna Pośrednia Turnia Małolącka doczekała się interesującej drogi wspinaczkowej — mniej więcej środkiem północnej ściany (Wojciech Dzik i Marek Pronobis, 23—25 II 1976).

● Na Brunnkogel w Salzkammergut (1703 m) zrekonstruowano krzyż poświęcony „poległym alpinistom”, zniszczony przez wichurę w r. 1974. Ma on 14 m wysokości i jest podobno najwyższym z krzyży na szczytach Alp. Nasz krzyż na Giewoncu — nota bene w tym roku obchodzacy 75-lecie istnienia — liczy 15 m. Byłby najwyższym krzyżem górskim w Europie?

● W zeszłorocznym XIX Międzynarodowym Zlocie Młodzieży na Rysach weszło na ten szczyt w ciągu 2 dni ok. 13 000 osób, tyle przynajmniej wydano pamiątkowych żetonów. Bazą zlotu był Eurocamp FICC (5800 oficjalnych delegatów z CSRS i zagranicy).

● Do ciekawszych osiągnięć zimy 1975-76 należy i zimowe wejście wprost od północy na Skrajną Rogową Przełęcz (WHP 2253 — M. Grochowski, T. Herlich i A. Skłodowski, 8 lutego). Jest to piękna droga zimowa, o odcinkach lodowych w dolnej części i dużych zimną trudnościach skalnych. Przebyto ją w 11 godzin przy silnym mrozie (—27°C).

● Schemat eksploracji wspinaczkowej całego muru Jaworowych Szczytów i Jaworowej Grani zamieściły „Kraszy Slovenska” nr 11 z r. 1975. Wykaz dróg obejmuje 25 pozycji, w tym parę ważniejszych wariantów.

● Wychodzący w Dreźnie „Der Tourist” doniósł w numerze 10/1975 o szerzącej się ostatnio w Tatrach Polskich modzie na taterniczkę ślubu i wesela na szczytach gór — w pełnym taternickim rynsztunku. Zapomniano dodać, że w związku z tym grupa urzędników stanu cywilnego spod Tatr przeszła specjalne przeszkolenie wspinaczkowe...

SPRZĘT W JASKINI KSIĘZYCOWEJ

Nawiązując do swojego sprawozdania zamieszczonego na s. 81 chciałbym wynotować kilka uwag na temat ekwipunku, jakim się posługiwała nasza wyprawa. Część wyposażenia, a mianowicie wyciągarkę, zaciski do wchodzenia po linie, przyrządy do zjazdów (wzorowane na francuskich „petzelach”), uprząże asekuracyjne i kombinezony wodoszczelne wykonaliśmy sami. Spisywały się one dobrze, a kombinezony, uszyte z produkowanej w Trzebini wodoszczelnej tkaniny, nawet bardzo dobrze. Całą jaskinię oporęczowaliśmy linami podciągowymi, które posiadaliśmy w odcinkach 80- i 160-metrowych. Te ostatnie okazały się mało przydatne, z uwagi na ciężar zwojów i trudności w manewrowaniu nimi. Wydaje się, iż w praktyce najdłuższe liny nie powinny liczyć więcej, niż 120 m. Niepokojąca jest niska wytrzymałość polskich lin. Szybko się one przecierały, a jedna z nich (nowa!) zerwała się pod ciężarem zjeżdżającego człowieka. Po linach poruszaliśmy się za pomocą zacisków; wyciągarka — wzorowana na windzie ratowniczej — służyła tylko do transportu sprzętu. Jako oświetlenia używaliśmy elektrycznych lamp czołowych, przy czym należy podkreślić wysoką jakość polskich baterii 4,5 V. Nadawały się one do użycia po 2 latach, które przeleżały od poprzednich naszych wypraw w chatce biwakowej pod Gruberhornem. Ze sprzętu łącznościowego znakomite okazały się radiotelefony „Echo 4”, którymi posługiwaliśmy się na powierzchni. Sporo trudności mieliśmy natomiast z telefonami górniczymi ATR.

Mieliśmy też okazję przyjrzeć się sprzętowi grotolazów austriackich. Nie ulega wątpliwości, że pod względem jakości i niezawodności przewyższa on nasz, wyprodukowany metodami chałupniczymi. Specjalne liny jaskiniowe, które służą do wchodzenia, mają gwarantowaną wytrzymałość i nie wyciągają się pod obciążeniem. Są idealne jako poręczówki, a każdy kto miał okazję wchodzić po polskiej „nylonce” i musiał najpierw przez parę minut przebierać nogami w miejscu, by napiąć elastyczną żyłę, zrozumie zalety takiej specjalnej liny jaskiniowej.

Janusz Radziejowski

LINY I WĘZŁY

Wiadomo nie od dziś i pisaliśmy już o tym w „Taterniku”, że zawiązanie węzła na linie lub pętli powoduje jej wydajne osłabienie. Badania przeprowadzone w tym zakresie wykazały, że stopień zmniejszenia wytrzymałości na zerwanie zależy z jednej strony od konstrukcji liny, z drugiej zaś od rodzaju węzła. Szczególnie wrażliwą są liny z rdzeniem

i koszulką, węzeł zaś jest tym lepszy, im dłuższy ma promień opasania. Drogą licznych prób ustalono, że spadek wytrzymałości liny czy repsnura w węzle wynosi 25—47 procent. Duże nadzieje wiązano kiedyś z węzłem wymyślonym do łączenia taśm perlonowych (tape knot — zob. T. 3/71 s. 133). Długa seria prób przeprowadzonych przez znaną firmę Edelman i Ridder wykazała, iż węzeł ten wiązany na linach marki „Edelrid” i marki „Schuster” (obie o średnicy 11 mm) redukuje — przy obciążeniach statycznych — ich wytrzymałość do 59 i 54 proc. Tabele wyników prób i szczegółowe ich omówienie zawiera nowe wydanie Tätigkeitsbericht des Sicherheitskreises DAV’.

KOMISJA BEZPIECZEŃSTWA UIAA

Decyzją Walnego Zjazdu UIAA w Obertauern (1975) nastąpiło połączenie dotychczasowych 2 komisji roboczych tej organizacji — Sprzętowej i Metod Asekuracji — w jedną Komisję Bezpieczeństwa. W dniach 1—3 listopada 1975 obradowała ona w Innsbrucku — pod hasłem „walczmy z wypadkami poprzez lepsze wyposażenie”. Uchwalono m.in. normę wytrzymałościową dla stylisk czekanów, ustalając ją na wysokim poziomie 650 kG (styliska drewniane wytrzymują obciążenia rzędu 100-350 kG). Wprowadzono też nową zasadę znakowania lin, która ma pozwolić łatwiej odróżnić linę asekuracyjną od podciągowej. Komisją Bezpieczeństwa kieruje szef obu dotychczasowych komisji — Szwajcar Peter Baumgartner, a jej członkami są zarówno wybitni technicy, jak i wybitni alpinści (m.in. Witalij Abalakow, Giorgio Bertone, Reinhold Messner, Pit Schubert i inni).

LINY Z CSRS

Czechosłowacka wytwórnia lin „Juta” produkuje taternickie liny podciągowe o przekroju 9 mm i asekuracyjne o przekroju 10,7—11 mm. Pierwsze z nich — do asekuracji używane tylko podwójnie — oznaczone były dwiema nitkami kontrolnymi, asekuracyjne zaś — jedną nitką. Od r. 1976 poczynając, wytwórnia przeszła na system oznaczeń zalecony przez Komisję Bezpieczeństwa UIAA (zob. wyżej), w którym formuła brzmi odwrotnie. Obecnie więc lina podciągowa ma jedną nitkę kontrolną, zaś lina asekuracyjna — dwie. Rok produkcji liny podawany jest na etykiecie przyklepionej do każdego zwoju. Komisja Sprzętowa HS UV CSTV, która o tej zmianie zakomunikowała, dodaje od siebie, że okres trwałości liny wynosi 3 lata — po takim mniej więcej czasie należy ją wycofać z użycia, nawet jeśli nie jest w ogóle zniszczona.

TATERNIK

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ALPINIZMU
POŚWIĘCONY SPRAWOM TATERNICTWA,
ALPINIZMU I SPELEOLOGII

Redaktor: Józef Nyka
00-750 Warszawa, ul. Nowosielecka 20 m. 18
Tel. 41-07-87

Redaktor graficzny: Wojciech Ziemiński

Adres Redakcji:
00-624 Warszawa, ul. Marszałkowska 1 p. 47
Tel. 25-40-41 wewnętrzny 312

Adres Polskiego Związku Alpinizmu:
00-010 Warszawa, ul. Sienkiewicza 12 p. 439
Tel. 26-69-56

WARUNKI PRENUMERATY:

Cena numeru: 10 zł. Prenumerata roczna — 40 zł,
półroczna — 20 zł.

Prenumeratę krajową przyjmują oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach: do 25 listopada na I kwartał, I półrocze oraz cały następny rok; do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe kwartaly roku. Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje składają zamówienia w miejscowych oddziałach RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz prenumeratorzy indywidualni zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub wprost u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% wyższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach ustalonych dla prenumeraty krajowej.

Sprzedż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych prowadzi na uprzednie pisemne zamówienie Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Prasa-Książka-Ruch”, 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28.

WYDAWCA:

RSW „Prasa-Książka-Ruch” Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A.
Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52, 29-56-19. Biuro Reklam i Ogłoszeń, 00-679 Warszawa, ul. Wilcza 62. Telefon 28-07-82.

Druk: PZG RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Warszawa, ul. Smolna 10/12. Zam. 753. J-45.

NR INDEKSU: 37 901.

CONTENTS

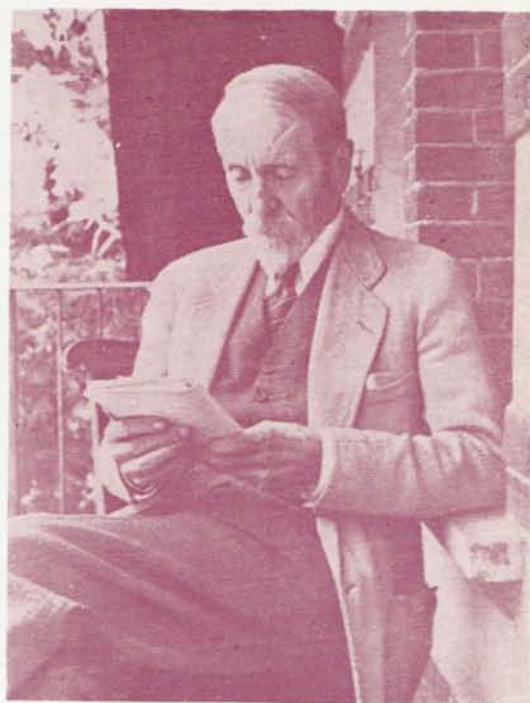
Successful expedition (<i>J. Nyka</i>)	49
Polish Ladies Karakorum Expedition 1975 — expedition report (<i>W. Rutkiewicz</i>)	50
Gasherbrum II by a new route on the North-West-Face (<i>K. Zdzitowiecki</i>)	58
Gasherbrum III conquered (<i>W. Rutkiewicz</i>)	60
Gasherbrum II — western ladies' altitude record (<i>A. Okopińska</i>)	63
The Tatras — Polish '75 summer season (<i>J. Wolf</i>)	66
Polish-British climbing co-operation (<i>Z. Kozłowski</i>)	68
Tatra climbers in the Alps — beginning of a new era? (<i>W. Sonelski</i>)	70
Petit Dru West Face — first winter ascent of the Harlin and Robbins direct route. Perhaps the most important achievement of the season in the Alps (<i>Z. Wach, J. Wolf</i>)	73, 75
The French Alps — '75 summer season (<i>A. Paczkowski</i>)	78
An early ascent of the Kriváň (<i>J. Nyka</i>)	79
Mondhöhle in the Hoher Göll Mountains — 543 metres (<i>J. Radziejowski</i>)	81
24 days in the Miętusia Cave (<i>J. Grodzicki</i>)	82

New routes in the Tatras — 85. News from the Tatras — 86. Expedition notes — 88. Caving — 90. Organisation proceedings — 91. In memoriam — 92. Zakopane and the Tatras — 94. Mountain equipment — 95.

INHALT

Wirklich gelungen (<i>J. Nyka</i>)	49
Polnische-Damen-Karakorum-Expedition 1975 (<i>W. Rutkiewicz</i>)	50
Gasherbrum II auf neuer Route (<i>K. Zdzitowiecki</i>)	58
Gasherbrum III bestiegen (<i>W. Rutkiewicz</i>)	60
Gasherbrum II in einer Damenseilschaft (<i>A. Okopińska</i>)	63
Tatra-Chronik — Sommer 1975 (<i>J. Wolf</i>)	66
Polen — Grossbritannien — Bergsteigertausch (<i>Z. Kozłowski</i>)	68
Tatra-Bergsteiger in den Alpen (<i>W. Sonelski</i>)	70
Petit-Dru-Direkte-Westwand (Harlin-Robbins-Route) erstmals in winter (<i>Z. Wach, J. Wolf</i>)	73, 75
Neues aus den Französischen Alpen (<i>A. Paczkowski</i>)	78
Wurde Kriváň bereits im Jahre 1761 bestiegen? (<i>J. Nyka</i>)	79
Die Mondhöhle im Hohen Göll bis — 543 m befahren (<i>J. Radziejowski</i>)	81
24 Tage in der Finsternis der Miętusia Höhle (<i>J. Grodzicki</i>). Die Gesamtlänge dieser Höhle ist auf 8 km angewachsen	82

Neue Führen in der Tatra — 85. Neues aus der Tatra — 86. Expeditionen — 88. Höhlen und Höhlenforschung — 90. Aus dem Organisationsleben — 91. In memoriam — 92. Zakopane und die Tatra — 94. Bergausrüstung — 95.



Z lewej Luigi Amadeo di Savoia, książę Abruzzów (1873–1933) – zasłużony badacz gór świata, kierownik wielkiej wyprawy odkrywczej w rejon Baltoro w r. 1909. Z prawej jego współpracownik – Vittorio Sella (1859–1943), autor po dziś dzień najlepszych zdjęć z Karakorum i innych gór Ziemi. (Do artykułów na stronach 49–65).

POLSKIE WYPRAWY W KARAKORUM W 1975 ROKU

Objaśnienia do tylnej okładki: Mapa szkicowa przedstawia drogę polskich wypraw w Karakorum w 1975 r., która prowadzi dolinami rozdzielającymi grupy górskie Rakaposhi, Panmah Mustagh i Baltoro Mustagh po stronie północnej i Masherbrum Range po stronie południowej:

1 – odcinek przebywany traktorem i jeepami; 2 – droga obu wypraw z tragarzami, 3 – droga wyprawy wrocławskiej na Lodowcu Godwina Austena (L.G.A.); 4 – obozy bazowe i szczyty zdobyte przez wyprawy: Falchan Ri Środkowy (Broad Peak Middle 8016 m), Gasherbrum II (8035 m) i Gasherbrum III (7952 m); 5 – inne ścieżki i drogi karawanowe; U – Urdukas; C – Concordia (ok. 4800 m); L. A. – Lodowiec Duca gegli Abruzzi.

Szkic wykonano na podstawie map: Tactical Pilotage Chart, seria TPC arkusz G-7D 1 : 500 000, wydanie AC1C (1969); Ghiacciaio Baltoro 1 : 100 000 wyd. Istituto Geografico Militare (196); India and Pakistan, Mundik, seria U 502 arkusz N! 43–3, wyd. 2-AMS (1963). Zainteresowanego czytelnika odsyła się do mapy szkicowej „Karakorum” 1 : 250 000 oprac. Jerzy Wala, Klub Wysokogórski, wydanie 2 (1973) – odbitka osalidowa. Mapę na tylnej okładce opracował i rysował Jerzy Wala.

